MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 30. WARSZAWA, 14 LIPCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

ODSIECZ Z POZNANIA

Z ZAŁAMAŃ politycznych, gospodarczych, społecznych i moralnych, które przebywamy w okresie niepodległości, do najniebezpieczniejszych należą te ostatnie — moralne. Wszystkie inne mają najczęściej znaczenie pochodne. Nie darmo się mówiło: „bo narodu duch zatruty — to dopiero bólów ból". Dobrej, niezałamanej postawy moralnej narodu pierwszym warunkiem jest wiara w swoje siły, a nadeszystko w to, że się jest, że się ma swój byt moralny niezależny od konjunktur. Usiłowaniem bowiem trucicieli ducha naszego jest przedewszystkiem to, aby Polak zwątpił, czy wogóle coś znaczy naród poza państwem, które dowolnie rozporządza losem ludności, jaka się w granicach zdarzyła.

Momentem zwrotnym w samopoczuciu narodowem staje się wystawa poznańska, będąca dziełem genjuszu polskiego. Nie cieszyła się ona życzliwością sfer „uzdrawiających" Polskę; stała się dla nich raczej niespodzianką w swych rozmiarach i treści. Jeżeli zaś spojrzymy na wystawę pod kątem zamierzeń uczynienia z nas judeo-Polski, to pokazała ona, że żydzi nie biorą wcale udziału w tworzeniu cywilizacji polskiej, że twórcą jej jest naród polski. Gdzieniegdzie nazwisko w szyldzie, świadczące o udziale kapitału żydowskiego spekulacyjnego, ale twory są dziełem pracy polskiej. Do tego stopnia wystawa jest polska, że żydzi nie interesują się nią zgoła, nawet ją bojkotują. Wszystko, co dąży do sfałszowania dziejów, zweksłowania ich na tory żydowsko-kosmopolityczne, stroni od Poznania, czuje się skompromitowane. Poznań zadał kłam kombinatorom politycznym.

To też wszyscy, którzy, nie mając środków skontrolowania prawdy dziejowej, czuli się w depresji, bodaj nawet wątpić zaczęli o narodzie, zetknąwszy się z tą prawdą w Poznaniu, odżyli. Dzięki wystawie, następuje dobroczynny przełom w zdławianej od nacisku politycznego psychice Polski. Trzeba widzieć, jak dusza polska rozprostowuje się w Poznaniu, znalazłszy się sama z sobą w czystej atmosferze pracy, nie znającej zarazków oszustwa. Świadectwa cudzoziemców stwierdzają, że nie jest to wrażenie tylko nasze subjektywne. W porównaniu z wystawą w Wembley nasza góruje prawdą, daleką od blagi reklamiarskiej. Cudzoziemcy wyrażają się o niej z zachwytem. Ktoś powiedział, że nawet w czasie słoty, gdy jest pusto od ludzi, dzieła rąk polskich same z siebie wydają krzyk — woła z nich do świata dusza polska zaklętą w rzeczach ideą narodową. Cudzoziemcy z podziwem patrzą, że społeczeństwo, które nie zaleczyło dotąd spustoszeń wojennych, w ciężkich warunkach niedostatku pracujące, ma w pracy tyle patosu.

Udziela się ta wymowa przedewszystkiem Polakowi. Odnajduje on siebie w tym pięknie zorganizowanym pokazie i hymn zbiorowego życia, układający się dziedzinami w strofy rytmiczne, porywa jego duszę. Dziwne rozrzewnienie rodzi w duszy ta poglądowa nauka, a ten uczuciowy jej ekwiwalent jest bodaj największą zdobyczą pielgrzymki. Ludzie stają się radośni i wierzący; nie symbol, lecz rzeczy dają im miarę rzeczywistości.

Polak, systematycznie zatruwany gazem fałszu, dla którego specjalne wynaleziono autorytety, oddycha tutaj całą piersią. Oplwany, ośmieszony ze swemi aspiracjami narodowemi, zazdroszczący nieraz wolności żydowi, któremu nie kwestjonuje się rozumu, powagi, prawa szanowania swej rasy i religji, tutaj dopiero w Poznaniu zrozumiał, że stawał się ofiarą planowego morderstwa moralnego. Polska nie jest

narodem upadłym, jak wmawiają; zbywało jej chyba na sposobności uświadomień swojej siły.

W rozbłysku uświadomienia, które tutaj się odnalazło, Polak zaczyna rozumieć drogę, którą przebył w dziesięcioleciu niepodległości.

Droga to była od początku grząska: wiele błota zostało na drodze. Na rozwój organiczny trzeba czasu; to, co od pokoleń było w obrocie różnych cywilizacyj obcych, musi wpierw sfermentować i ścierać się, zanim się zrośnie. Były też walki, praca polityczna szła kulawo; ale widać było stopniowy postęp. Partje poczęły już konsolidować się, a instynkty narodowe ułatwiały państwu pracę, z niesłychaną bowiem w dziejach polskich ofiarnością naród wyzuwał się z mienia, aby dźwigać swoją budowę. Musiało iść dobrze, skoro czynnikom Polskę obserwującym, wydał się ten nasz rozwój dla ich planów czemś niepożądanem. Nastąpiło tedy to, czego nie śmiał przewidywać umysł polski, wierzący w dobroć natury ludzkiej i niezabezpieczony organizacyjnie od niebezpieczeństw wewnętrznych.

Linja rozwoju załamała się w r. 1926 wskutek zastosowania zabiegu mechanicznego. Wkoło dziejów wsadzono narzędzie, które się przeznaczało dla celów zewnętrznych i wóz ugrzązł. Znane są efekty psychiczne wobec takiej przygody: zapanowała konsternacja i ciemność w oczach, towarzysząca zdaniu się na łaskę losu.

Był to czas tak wielkiego oddania się sprawie budownictwa państwowego, że po za niem myśl zbiorowa nic nie widziała i łatwo dawała sobie wmówić, że państwo wyczerpuje wszystko, czem życie tętni. Wiarę w naród, jako siłę duchową, dająca popęd życiu państwowemu, kazano uznać za przesąd partyjny, któremu nie wolno ulegać pod grozą zarzutu nielojalności państwowej.

Myśl polska, tym obrotem rzeczy steroryzowana i zdezorjentowana, poczuła się osierocona. Zdawało się jej, że opuścił ją duch dziejów, biorący siłę z wiary ojców w niezmożoność rasy i genjuszu polskiego. Ni stąd ni zowąd, gdyśmy nareszcie odzyskali wolność, powiedziano nam, że odtąd nie będzie polskiego państwa narodowego. Nie ma narodu, jest ludność, związana państwem, a jakie to będzie państwo, o tem pomyśli ktoś kompetentnicjszy, niż naród polski, pretendujący do roli gospodarza. Skutki załamania moralnego tem większy stworzyły zamęt, że przykręcono umyślnie prasę, aby było ciemno. Prasa nie mogła lub nie chciała nieść przed narodem kagańca.

I wtedy właśnie, w okresie depresji, wystąpił Poznań ze swojem doniosłem dziełem. Tam jest wzgórze, tam grunt już obeschnięty, droga nie tak grząska. Tem naród czuje grunt pod nogami, a dążąc pielgrzymkami na tę wyżynę, dowiaduje się, że życie trwa i nie ustąpi.

Obóz tak zw. sanacyjny, który wziął na się zbyt śmiałą robotę zaprzeczenia praw życiu organicznemu, pokarany został utratą elementarnych władz myślenia i więcej sam sobie szkód wyrządza, niż ci, co z nim walczą na polu politycznem. Fortelem taktyki tego obozu było podszywanie się pod hasła narodowe — to myliło szyki walczących. W tym wypadku obóz ten, nie połapawszy się, popełnił błędy, które go dopiero teraz pozwoliły właściwie zrozumieć i ocenić. Odwracając się z niechęcią od Poznania, dał do zrozumienia, że Poznań mu przeszkadza, a stąd jasnem się stało, dlaczego bez echa w jego sercu minęła dziesiąta rocznica traktatu Wersalskiego, który granice zachodnie ustanowił. Nadomiar odwrócono się tyłem do patrjotycznego zlotu Sokolstwa, któremu hołd złożyły nawet narody obce. Obóz walczący — jak sam przedstawia — z „partjami", znalazł się nagle poza szrankami wogóle życia narodowego — w niezgodzie z tem wszystkiem, co jest i chlubą i świętem i aspiracją narodu.

„Sanacja" bała się tylko jednej rzeczy — odporu fizycznego; tymczasem położyło ją życie samo na terenie pokojowem święta narodowego, rażąc światłem prawdy. Odniesione w ten sposób zwycięstwo ma dla narodu tem większe znaczenie, że jest zwycięstwem moralnem, którego nie wydrze siła fizyczna. Niema już załamania. A to przesilenie moralne zawdzięczamy Poznaniowi.

ZYGMUNT WASILEWSKI

FRANCJA A POLSKA WE WSPÓŁŻYCIU DZIEJOWEM

(W DZIEŃ ŚWIĘTA NARODOWEGO FRANCJI)

SIEKIERA mnicha-karczownika toruje drogi cywilizacji francuskiej do Polski. Małopolski Tyniec czy wielkopolski Lubin są tej cywilizacji pomnikami, a — cokolwiek o tem pisze nauka współczesna — „Anonim-Gall" długo stać jeszcze będzie w metryce legendy u kolebki polsko-francuskich stosunków kulturalnych. Cystersi i Augustjanie, Dominikanie i Franciszkanie wysyłają kleryków swoich na studja do Paryża. Jak Dante, tak i nasz Gabrjel z Ojcowa słuchać miał, siadując na słomie, wykładów Sorbony. W Paryżu studjować też miał teologję Stanisław Szczepanowski, tu uczyć się następca jego, Wincenty Kadłubek, tu wpatrywać w gotyckie formy życia i kultury Iwo z Odrowążów, założyciel Panny Marji oraz bratanek jego Czesław, brat św. Jacka. Do Francji przyciągają średniowiecznych Polaków również i pielgrzymki. W południowej części kraju, jak dzisiejsze Lourdes, kwitnęło ongi starorzymskie miasto Nîmes, z grobem w pobliżu św. Idziego, patrona benedyktyńskiego. O jego wstawiennictwo modliła się nasza Judyta Hermanowa, a narodziny Krzywoustego, za przyczynieniem się domniemanem świętego z Nîmes, uwiecznione zostały budową jednego z najstarszych kościołów krakowskich.

Epoka podziałów nie sprzyja zacieśnieniu się węzłów, łączących nas z odległym Zachodem. Dopiero

wczesny renesans Kazimierzowski, kultura andegaweńska, przebijająca promieniami swojemi z za Karpat wąskie okiennice zamku wawelskiego, zbliża nas napowrót do Francji. „Wielki" śle na dwór papieski do Awinjonu poselstwo, które ma w porozumieniu i przy poparciu Stolicy św. ugruntować byt nowopowstającej wszechnicy krakowskiej: miło pomyśleć, że nasza stara, przeszło pięciowiekowa szkoła pieczętuje się klejnotem intelektualnym: *Gesta Dei per Francos*.

Po Piastach wstępują na tron polski po raz pierwszy Andegaweńczycy: dwukrotnie wygasała nam dynastja i dwukrotnie wtedy witaliśmy na tronie książąt francuskich. Pierwszy, Ludwik lepszym był od drugiego, Henryka, bo, choć, jak tamten, nie zostawił po sobie Polakom dynastji, zostawił przecie wielką królowę, a, przez jej pośrednictwo, złota obrączka zgody złączyła nas z Litwą. Szczęśliwe czasy, kiedy mądra dyplomacja korony i stuły w mig rozcinała, za skinieniem niewiasty świętej, długi spór o przewagę, zapewniała nam trwale Wilno — i znów ręce w tem były panów polskich, ale natchnienie przychodziło z Zachodu.

Wojna stuletnia zmniejszyła, bądź co bądź, ciąg naukowy w stronę Paryża: Po Crécy, jak po Sedanie, stracił on część swojej siły atrakcyjnej: trafiali się scholarowie, jak następca Szczepanowskich, Kadłubków i Odrowążów, Radlica, lekarz pezulański, jak następca jego, Wysz, pierwszy kanclerz uniwersytetu — kurja krakowska była wtedy ośrodkiem kultury francuskiej, jak w stuleciu następnem stanie się ośrodkiem włoskiej, — w rejestrach zaś nauki naszej pojawiały się imiona ludzi, co pisali się „z Paryża" *de domo Lutetiae*: był taki Mateusz i kolega jego Tomasz.

Jagiellonowie orjentują nas cywilizacyjnie ku Południowi. Szlak penetracji kulturalnej za Piastów szedł raczej przez Niemcy i Belgję od wybrzeży Atlantyku; za Jagiellonów bieży on od adrjatycko-śródziemnorskich brzegów poprzez Węgry, Austrję i Czechy. Ale — obok „ultramontanów" czy austrofilów — są inni, co chcą i wtedy robić awanturniczą nieco politykę naraz ze Stambułem i Paryżem: do tych należą trzej Łascy, nepoci wielkiego prymasa: Hieronim, co posłuje do Paryża od „Starego", Stanisław, co pod Pawią, przy boku Franciszka I traci wszystko prócz honoru; wreszcie Olbracht, niesamowity Olbracht, praojciec okultystów polskich, poseł po Walezego, żonaty z Francuzką, której polityczny na męża wpływ tak wysoko sobie ceniła ówczesna królowa Francji, że o Sabinie de Sévé i Łaskim pisać raczyła: „*elle peut infiniment à le faire tourner en telle part qu'elle voudra*": pierwsza Francuzka wkracza tak na widownię stosunków franko-polskich, nie ostatnia „*à le faire tourner en telle part qu'elle voudra*"— świadkiem koronnym Jan Trzeci.

Walezy będzie polsko-francuską rzeczywistością, tym razem mniej wesołą; Kochanowskiego wojaż paryski jest ostatnim epizodem polsko-francuskich dziejów bajecznych. Kogo widział, w kim się kochał — dojść trudno, ale że był młody, że był poetą, w ślicznym kraju i bujnym wieku, który opiewał wiosnę i miłość, więc na kredyt mu się przyznaje, że wywiózł stąd natchnień mnogo i że, pod czarnoleską siadując lipą, snuł wspomnienia z renesansowych *quartiers latins* i *Montmatre*'ów, jak na przedniego łacinnika a „dobrego towarzysza" przystało. Pozatem niewiele więcej wiemy o jego życiu paryskiem, niż o życiu klasztornem Odnowiciela.

„Gawieński" — to co innego. Liczyli na Walezego i oczekiwali go nasi frankofile „jak żydzi Mesyjasza". „Co się tyczy... brata króla francuskiego" — tak go zachwalał publicysta szlachecki—„ten jest młodzieniec 24-ch lat,... we dwadzieścia lat trzech bitew wygrał, nigdy nie przegrał;... angieskie i szkockie królestwo mu dawano z panną, ale go nie chciał, przestrzegając sławy... K'temu człowiek obyczajów naszych, prawie profesor wszelkiej kultury i cywilizacji, bo na świecie niemasz żadnej nacyej podobniejszej Polakom jak Francuzowie".

Nie mąćmy zbyt długo nastroju świątecznego, jaki wywołuje ta mowa agitacyjna Solikowskiego, wizją komnat wawelskich po ucieczce pomazańca, z płaczącą Jagiellonką, która już na szatach swoich haftowała była lilję, sceną, jak ją malował Jan z Czarnolasu:

„Podchmieleni za stołem drzemaliśmy we śnie,
Drzemaliśmy bezpiecznie, bo któżby się spodział,
Że korzystając z mroku, co ziemię przyodział,
Cała czereda Gallów ujdzie tejże chwili,
Naszą czujność zawiedzie i straże omyli".

Niech raczej w naszej pamięci pozostaną wspomnienia owej pierwszej polsko-francuskiej sielanki dziejowej, jak ona uwiecznioną została na starym gobelinie — z Katarzyną Medycejską, której astrolog-kabalista, Michał Notredame, wywróżył był koronę polską dla syna i która pytała się wtedy karła swojego Krasowskiego, „*qu'est-ce sont ces Polonais*"; z Paryżanami, z Brantômem na czele, dziwującymi się tym „ludziom pokaźnego wzrostu,... (ich) świecącym się a długim brodom, czapkom, zdobnym cennem oblamowaniem futrzanem i drogiemi kamieniami, karabelom, butom z nagolennikami, łukom, łbom wygolonym od tyłu", owym Łaskim i Zamoyskim; z Ronsardem wreszcie, nie w porę winszującym Polsce:

„O błogosławiony kraju,
Będziesz szczęśliwy, jak w raju,
Żeś tak mądrze wybrała".

Mija zgórą lat siedemdziesiąt, tyle mniej więcej, co od Marenga do Sedanu — tętni do Paryża druga z kolei polska ambasada, już nie po króla tym razem, ale po królową. Jak wtedy Konarski i Łaski po Walezego, tak teraz Leszczyński, Opaliński i Morstin przybyli po Ludwikę-Marję. Polacy nie zaniechali tej sposobności, aby, jak współcześnie Ossoliński w Rzymie, szastać złotem na wsze strony. Le Laboureur pisze: „Świta (ambasadorów polskich) była bardzo liczna i złożona z grona bardzo wesołej szlachty, ... których wydatki wielki przyniosły ambasadzie zaszczyt". Pani de Motteville podkreśla przepych kontuszów, delij, pasów, karoc i uprzęży, opisuje, jak sam Ludwik XIV wyszedł na balkon, aby podziwić ten wjazd egzotyczny, równie zaciekawiony Polską, jak niegdyś Katarzyna medycejska.

Druga księżniczka krwi francuskiej na tronie polskim nie może być porównaną z glorją i misją poprzedniczki swojej Jadwigi, ale jest niemniej bardzo mądrym i znakomitym człowiekiem, a zarazem uroczą kobietą. Jak Andegawenka za surowego Jagiełłę, ta księżniczka z krwi Gonzagów wychodzi za mąż za schorowanego już Wazę — z rozsądku, jak tamta nie daje nam dynastji, choć o zapewnienie dynastyczności walczy do ostatka sił swoich. Ona kieruje wojną przeciwko Szwedom, — Fryderyk Wielki; gdyby żył był wtedy, byłby już urągał, że w tem królestwie króluje kądziel — a pada dopiero w boju z wadami rodzimej szlachty. Pałac jej na Krakowskiem Przedmieściu jest kuźnicą planów politycznych; z ogrodu (dziś uniwersyteckiego) w ciężkiej chwili sama wycelowuje działo; ze sceny jej zamkowej rozbrzmiewa

głos spolszczonego przez Morstina „Cyda“, chcącego budzić, jak przed stuleciem „Odprawa“, rycerskie na nowo w Polakach uczucia; nareszcie, sprowadzając do warszawskiego św. Krzyża Misjonarzy, zbliżyć się stara królowa poddanych swoich do wielkiego źródła natchnienia religijnego, jakie biło we Francji w dobie Ludwików.

Dwór królowej Marji chce być także północnym Wersalem. Już wtedy jeżdżą z Francji do Warszawy, Gdańska, Krakowa i Wieliczki poeci: Saint-Amant, który sam nazywa się „Saint-Amantskim“, jak za Stanisława-Augusta książe de Lauzun zwan będzie „Lozańskim“; jeździ później Regnard, jeżdżą piękne *précieuse*'y i intrygantki, pani de Longuevilly, siostra Wielkiego Kondeusza i margrabina de Guébriant i dwie przyszłe panie Pacowe i przyszła pani Krasicka i przyszła pani Morstinowa, a — pośród wszystkich dworek Ludwiki-Marji —ta najniebezpieczniejsza i najwdzięczniejsza zarazem, Wenera ujarzmiająca Marsa, „umiłowana sercu mojemu, najukochańsza Marysieńka“.

Sobieski jest — mimo czerepu sarmackiego — produktem kultury francuskiej. Już ojciec jego ciąży do dworu Henryka IV-go; on sam przybywa do Paryża za młodych lat Ludwika XIV, jeszcze za rządów Mazariniego, który Polsce narzucił wprawdzie dobrą jej królowę, ale jeszcze nie doceniał znaczenia jej dla Francji równie silnie, jak jeden z następców jego, słynny Colbert, co to mówił, że „skoro się rozchodzi o pożyczkę miljona złotych na dobro Polski, gotów jest postradać swoje mienie, zastawić żonine i dziecińskie, a, w razie potrzeby, chodzić piechotą przez całe życie, byleby tylko pożyczka owa została pokrytą“.

W Paryżu i na prowincji rozsiana jest już wtedy niemała kolonja polska — świadczą o tem chociażby nagrobki w kościołach paryskich — Radziwiłłowie, Sapiehowie, Lubomirscy, Myszkowscy, Radziejowscy, Leszczyńscy. Ciągłe wojny Ludwika XIV przywabiają z Polski spragnioną laurów bojowych młódź szlachecką. Mazarin werbuje z niej osobny oddział — „*Mazarin Polonais*“, — który walczy pod Dixmude, Radziwiłł zostaje generał-pułkownikiem wojsk polskich we Francji. Polacy biorą udział w zamieszkach Frondy, jak później brali będą w zamieszkach Komuny. Inny Radziwiłł, dobry nasz znajomy z „Potopu“, książę Bogusław siedzi wtedy w Bastylji za „zabójstwo markiza“; dostaje się tam również i Marja Teresa Boniecka, podejrzana o udział w spisku na życie Ludwika XIV. W roku wreszcie 1669 przybywa nad Sekwanę pierwszy dostojny z Polski emigrant, pierwszy „bez korony“ już król nieszczęśliwego kraju, Jan Kazimierz, który zresztą za młodu, jeszcze jako kardynał-jezuita, poznał był gorzki chleb więzień francuskich, a skona teraz na dobrowolnem wygnaniu, jako opat St. Germain des Prés.

To pierwszy czasem i rangą emigrant. Drugim będzie Andrzej Morstin, najwytworniejszy z naszych poetów barokowych. Ale wchodzimy już w okres „Marysieńki“. Paryżanka na dobre bowiem rozgościła się tymczasem w Warszawie i panuje tu nietylko w osobie królowej, dyktując odtąd przez całe stulecie Sarmatom mody swoje i obyczaje. Potem dopiero kolej przyjdzie na rewanż Polek: nami rządziły zrazu Gonzagi i Marysieńki, później nasze Walewskie i Hańskie podbijać będą Francuzów na tronie i w królestwie ducha.

Polityka dynastyczna Burbonów w Polsce chybia, ale podbój intelektualny Polski kończy się bezwarunkowo kapitulacją Sarmatów. Węzły krwi — Sobiescy, Zamoyscy, Wielopolscy, Jabłonowscy — zacieśniają stosunek obu narodów, zacieśnią go wszakże najbardziej przymierze dwóch wielkich królów: Ludwika „Słońca“ i Jana „Pioruna“, przymierze nieco *contre nature*, bo Jan przywykł tłuc bisurmanina, Wersal zaś kocha się w *Grand Turc*'u, to też, wobec misji europejskiej Sobieskiego, pęka to pierwsze przymierze, a ofiarą jego katastrofy staje się Morstin, mianowany na pociechę przez Ludwika XIV hrabią de Châteauvillain, Morstin— wielki rozsadnik kultury francuskiej w Polsce, dziad Czartoryskich, pradziad Stanisława-Augusta, ojciec zaś bohatera z pod Namur.

To pierwszy zenit kultury francuskiej w Polsce. Bo też „Celadon“ w koronie jak żak kocha się w swojej paryskiej „Astrei“. Listy miłosne bohatera z pod Wiednia, to już nie mglisty mit erotyczny Kochanowskiego, ale najuchwytniejsza rzeczywistość. Ten, kto ze Lwowa pisze do małżonki, że chciałby być kroplą rosy, by upaść do jej stópek, a z Wiednia, po dokonaniu Odsieczy, gryzmoląc na bębnie, że spał haniebnie, jak zawsze, gdy zdaleka od żony, ten jest pewnym gwarantem duchowego przymierza dwóch narodów, o tyle pewnym, o ile afekt strzelisty wart jest więcej od racji stanu i umów pisanych.

Sielanka wilanowska prowadzi nas traktem królewskim do Łazienek. Ale oto już w tem stuleciu zaczyna się rewanż Polski: za dwie Marje, królowe z nad Sekwany, wypłacamy się Francji Marją z nad Warty, Leszczyńską. Czy do „bajecznej karjery“ skromnej wojewodzianki przyczyniły się wolnomularskie wpływy jej rodzica, jednego z kilku królów-masonów na tronie polskim — co świeżo wykrył jeden z uczniów profesora Askenazego — pozostawić wypadnie tymczasem w półcieniu: jeśli tak, to nigdy się sekta lepiej nie przysłużyła zakrystji: córa dyssydentyzujących Wieniawitów miała bowiem całą gorliwość rodzin konwertyckich — to był chodzący po Wersalu egzorcyzm na panie de Pompadour i du Barry.

Polska miała bowiem dobrych monarchów na eksport: Czechom i Węgrom dawaliśmy ich „*krala dobre*“, Lotaryngji jej „króla-filozofa“, Francji jej córkę, „dobrą królowę“. „Wstąpiwszy na tron z próżnemi rękoma“ — pisze o niej pięknie historyk Wersalu, p. de Nolhac —„przysłużyła się Marja dobrze monarchji Ludwików: jej późny posag dorównywa najpiękniejszym posagom królowych Francji, a wnuk jej odziedziczy, dzięki niej, królestwo zwiększone bez nowych walk prowincją, w której błogosławić się będzie pamięć (pradziada jego) Stanisława“. Francja wypłaca się za to Polsce, jak zawsze, w dziedzinie kulturalnej: Lunewil jest oprawą królowej Marji względem Polski. W Paryżu rośnie tymczasem kolonja polska jak na drożdżach, gdyż wszystkie panie polskie pragnęłyby zobaczyć *la gros gagnante*. W Polsce wszak niewesoło, a w Lunewilu tak dworsko: Ossolińscy, Jabłonowscy, Potoccy, Tarłowie, Załuscy, Konarski, ciągną do Lotaryngji: tu, na dworze „króla-filozofa“, przygotowuje się reforma pijarska, tu gromadzi biblioteka Załuskich, tu nawet kuje się broń wysiłku odrodzeńczego w korpusie kadetów. Za czasów saskich, w chwilach najgłębszego mroku, myślą już patrjoci o przedarciu się, szlakiem legjonów, nad Ren, o oparciu się o Nancy: od Wersalu do Stambułu, zawsze na Lunewil, snują się skomplikowane a często rwące się nici dyplomacji polsko-francuskiej.

Nie wiodło się zaś w tym czasie tej dyplomacji, gdyż Francja uważała anarchję polską za użyteczną dla swoich interesów. Więc kojarzyły się tylko dalej dyplomatyczne marjaże polsko-francuskie: Montmorency wiódł do ołtarza Bielińską matkę, a córkę jej poślubiał Besenval, des Alleurs żenił się z Lubomirską, Löwend-

hal z pierwszą żoną hetmana Gryfity-Branickiego, Czartoryski żenić miał z panną de Craon-Beauvau, nagół wyrzec jednak można *que le coeur n'y était pas*. Dopiero Poniatowscy odnowią na dobre tradycję Morstinów: prawnuk hrabiego de Châteauvillain, syn wolterowego „Alcyda“, *mignon* słynnej pani Geoffrin, Stanisław-August, zwierzy się potomności w liście, iż w Paryżu powziął najpiękniejsze kulturalne zamiary swojego panowania. Poza tem łącznik pomiędzy Warszawą a Paryżem stanowi dwór saski, którego córa wydaje na świat ostatnich trzech Francji — „z Bożej łaski“ — królów.

Jeszcze piją i biją się w Paryżu Polacy — „zabójcy markizów“ i polscy bibosze przechodzą w przysłowie ludowe, jeszcze ciągną tu tylko po zabawę rozmaici Sułkowscy, Trembeccy czy Mostowscy, jeszcze starszy ks. Adam Czartoryski i młodszy hetman Branicki kręcą się po lożach masońskich czy pijatykach, którym przewodniczy przyszły „królobójca“, ks. Orleański, są to jednak końcowe już podrygi tak bardzo rozbawionej epoki: pod egidą Russa, pod hasłem „świętej miłości kochanej ojczyzny“, wkracza na arenę dziejową naród, wkraczają dwa narody. Naród jeden śle drugiemu Dumourieza, Choisy'ego, Vioménila: ci Francuzi zdobywają na Rosjanach Wawel; naród drugi odwdzięcza się Poniatowskim, Kniaziewiczem, Dąbrowskim, Niegolewskim, Krasińskim, Chłapowskim, Jerzmanowskim: ci Polacy ciskają Francuzom w oczy „sto krwawych sztandarów“.

Przez cały wiek XIX-ty biegnie wspólna kolej tradycyjnych tych związków. Trzy wielkie emigracje polskie obierają sobie Paryż za ziemię wygnania: barska, co z Pacem, Wielhorskim, Massalskim, Bohuszem, Ogińskim, puka do Francji o radę jej filozofów i socjologów, legjonowa, co przygotowuje oręż wyzwoleńczy i — listopadowa, co zapładnia wielką poezję.

Umysłowość francuska przenika polską — od Woltera począwszy, na Komisji edukacyjnej skończywszy — jeżeli chodzi o wiek XVIII-ty. W XIX-tym zaś węzły te zacieśniły się jeszcze mocniej: Mickiewicz, Niemcewicz, Czartoryski (młodszy) — ze strony polskiej; Lamennais, Montalembert, Michelet — ze strony francuskiej byli centralnemi ogniwami łańcucha dziejowego, który sprzągł i łączy nadal losy obojga krajów.

Wiek ów zaczął się dla nas pobudką napoleońską, pieśnią Legjonów, polonezem Ogińskiego. Rozbrzmiał potężnie „Warszawianką“ Delavigne'a, wysilił na emigracji triumfalną harmonją Szopena. I tu, i tam, i wszędzie, u kolebki Legjonów, czy święcąc czyn rewolucyjny podchorążych, czy żaląc się nad wiekiem klęski, pogromu i emigracji, mieszała się do chóru głosów polskich nuta francuska. Nucie zaś tej odpowiadała nuta polska, snując się pełnym sympatji motywem poprzez „Kursy słowiańskie“ Mickiewicza, poprzez elegje Słowackiego i nadzieje poetyckie Krasińskiego i paryską twórczość Norwida; poprzez publicystykę Kalinki, Gillera i Klaczki — aż do artystycznych intencyj Matejki i apostrof napoleońskich Wyspiańskiego. „Z orłem franków orzeł biały... lot swój w niebo wzbił“, „nauczył nas Bonaparte, jak zwyciężać mamy“, a — iżby użyć na zakończenie słów Kalinki — „wspomnienie Francji jest dla nas prawie ojczyzny wspomnieniem“.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

POLACY POZAPAŃSTWOWI

(Z OKAZJI PIERWSZEGO ZJAZDU POLAKÓW Z ZAGRANICY)

Od czasu odzyskania przez Polskę niepodległości państwowej, nasza opinja publiczna dziwnie łatwo zdaje się zapominać o tem, że życie polskie toczy się nietylko w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie i Wilnie — nietylko w szesnastu składających się na Rzeczpospolitą województwach—że i wiele zjawisk z terytorjum państwowem Polski nie związanych, również się do tego życia zalicza. Jedynie czasem, zrzadka, jakieś wydarzenia —incydent z „Halką“ w Opolu, czy przyjazd wielkiej wycieczki polskiej z Ameryki—przypominają nam, że są jeszcze Polacy poza dzisiejszemi granicami Państwa Polskiego i że ich sprawy lokalne są cząstką ogólnej sprawy narodowej, na codzień jednak w naszej świadomości przeświadczenia te się zacierają. Gdyby rzeczywistość chciała pójść w ślad za tem, co ogół o niej myśli — należałoby uznać, że duże odłamy narodu, wraz z tem wszystkiem, co się na ich życie składa, usunięte zostały poza nawias polskości.

Dawniej było inaczej. Dawniej te dzisiaj odcięte odgałęzienia narodu stanowiły z nim nierozerwalną całość, a przypuszczenie, że kiedyś — jeżeli nie w ich wyczuciu, to w wyczuciu Polski—może ich coś od tej Polski duchowo oddzielać, byłoby — jeśliby się było mogło wogóle pojawić — z pewnością wyśmiane. W nikim nie budził zdziwienia fakt, że Staszic urodził się w Pile, że autorem melodji „Roty“ jest Warmjak Nowowiejski, że Weyssenhoff pochodzeniem i znaczną częścią swej twórczości związany jest z Litwą Kowieńską, że Emilja Plater jest dzieckiem Inflant, że Ukraina dała literaturze naszej cały szereg pisarzy, z których tylko przykładowo wymienimy Malczewskiego Zaleskiego, Goszczyńskiego i Jeża. Nie wydawało się nam jeszcze zupełnie niedawno niczem dziwnem, że Polacy amerykańscy przyczynili się do odbudowy niepodległości cyfrą 20605 ochotników do armji Hallera, ogromnemi sumami ofiar pieniężnych[1]) i licznemi pożyczkami [2]), że Polacy w Opolskiem urządzali powstanie, że ludność czeskiej dziś części Śląska Cieszyńskiego z bronią w ręku odpierała w r. 1919 czeski najazd, że korpus Dowbora-Muśnickiego na Białejrusi, a korpus Hallera na Ukrainie korzystały w ogromnych rozmiarach z pomocy i poparcia miejscowej ludności polskiej.

Cały naród — nietylko ta jego część, która znalazła się dziś w granicach odrodzonej Rzeczypospolitej — brał udział w tworzeniu cywilizacji narodowej i cały naród pracą swoją przyczynił się do odbudowania niezależnej państwowości. Dzisiaj niestety tylko część narodu z owoców tej pracy korzysta. Czwarta część narodu, mianowicie 7 miljonów Polaków poza Polską przy około 20 miljonach rdzennych Polaków w Polsce, odcięta od głównych ośrodków życia

[1]) Sam tylko fundusz Wydziału Narodowego, uchwalony na 10 miljonów dolarów, wyniósł w rzeczywistości blisko 6 i pół miljona — fundusz pro-legjonowego Komitetu Obrony Narodowej wyniósł około 200.000 dolarów, cała zaś pomoc dla Polski w okresie wojennym i bezpośrednio powojennym razem około dziesięciu miljonów.

[2]) Pożyczki państwowej w r. 1920 wychodźtwo nabyło na sumę 18 miljonów dolarów. Wydział Narodowy ułatwił rządowi polskiemu uzyskanie u czynników amerykańskich kredytu na sumę 160 mil. dol.

polskiego, pozbawiona przywódców (większość bowiem inteligencji, pociągnięta niby magnesem, widokami wdzięczniejszej pracy i milszego bytowania w Polsce, przeniosła się do niej), „skompromitowana“ politycznie zaangażowaniem się w czasie wojny w pracy i walce na rzecz Polski, a więc narażona na zwiększone represje—niejednokrotnie osłabiona gospodarczo (np. reformami rolnemi we wszystkich państwach, z któremi graniczymy od wschodu), — a nadto pogrążona w depresji moralnej klęskami politycznemi zarówno jak osłabiającemi jej entuzjazm dla sprawy narodowej błędami Polski (do których zaliczyć należy również i lekkomyślne pokrzywdzenia Polaków z obczyzny, jak niespłacenie pożyczek wychodźczych) — znajduje się dziś w sytuacji bez porównania trudniejszej i bardziej niebezpiecznej, niż przed wojną. Niebezpieczeństwo wynarodowienia grozi dziś naszym zakordonowym rodakom zupełnie realnie, a tem samem narodowi grozi skurczenie się o jedną czwartą.

W świadomości ludzi, czujących narodowo i nie poddających się suggestji, że naród a państwo to jedno—sprawa Polaków poza Polską — Polaków niejako niepaństwowych, bo ich życie narodowe nie objęte jest ramami organizacyjnemi rodzimej państwowości—urasta do rozmiarów jednego z największych problematów narodowych. Nie jest to zresztą dzisiaj problemat polityczny. Nie chcemy—w przeciwieństwie do Niemiec, dla których sprawa „*Auslandsdeutschtum*“ jest atutem w polityce, zmierzającej do rewizji traktatów—wygrywać zagadnienia Polaków na obczyźnie dla celów bieżącej polityki państwowej. Rozumiemy, że czwarta część narodu jest to rzecz zbyt duża, by miała wartość tylko jako pomocniczy czynnik siły dla pozostałych trzech czwartych narodu — by nie była także potężną i godną wielkich ofiar wartością samoistną. Rozumiemy również, że siedem miljonów dusz polskich, nieobjętych granicami państwa — to nie jest problemat, któryby można było kiedyś zlikwidować, bo ani rewizja na naszą korzyść stanu terytorjalnego, ani repatrjacja wychodźców, choćby w przyszłości w pewnej mierze były do przeprowadzenia, wszystkich rodaków naszych w ramy państwowości naszej nie wprowadzą, gdyż na repatrjację jest tych rodaków zbyt dużo, na wcielenie terytorjalne zbyt sa rozrzuceni. Problemat polszczyzny zakordonowej jest dla nas problematem wiecznym, tak jak wieczna jest dla narodowości francuskiej sprawa pobratymców w Kanadzie, Luizjanie i na wyspie św. Maurycego, jak wieczna jest dla Niemców sprawa niemczyzny ryskiej, siedmiogrodzkiej, nadwołżańskiej („*Wolgadeutsche Räte Republik*“), oraz południowo-brazylijskiej. Problemat ten możemy zlikwidować, pozwalając na wynarodowienie naszych pozapaństwowych rodaków (to znaczy—przypominamy—skurczenie się narodu o jedną czwartą). Jeśli się na takie rozwiązanie nie godzimy, musimy uznać fakt, że jesteśmy narodem w pewnej części żyjącym w diasporze—i wspólnym wysiłkiem całego narodu (tak, jak wspólny był wysiłek i krajowych i pozakrajowych Polaków w pracy nad odbudowaniem niepodległości) stworzyć tej niepaństwowej części narodu warunki trwałej egzystencji pod obcą władzą — egzystencji, w którejby odrębność cywilizacji, języka, tradycji i ducha narodowego mogła się w stanie nienaruszonym zachować. „*Eh bien! nous resterons Français malgré la France!*“ — powiedział kiedyś franko-kanadyjski poeta Frechette. Być może, że i nasi rodacy na obczyźnie wypowiedzą kiedyś zdanie podobne, jeśli nadal będziemy ich darzyć taką obojętnością, jak dzisiaj. I być może nawet w pewnej mierze postanowienie w tej obietnicy zawarte wypełnią, tak jak wypełnili je kanadyjscy Francuzi. Obowiązek moralny każe nam jednak nie liczyć na to—każe podać im pomocną dłoń, tak jak oni podali nam ją przed dziesięciu laty.

Jakiż jest stan zakordonowej polszczyzny? Liczbowo—jak wspomniałem—wynosi około siedniu miljonów. Z tego trzy miljony zamieszkuje Stany Zjednoczone A. P. (w samem mieście Chicago jest 400.000 Polaków—spore miasto Hamtramc jest tak polskie, że ma nawet polski zarząd miasta). Około półtora miljona—Niemcy (z tego duża część na terenach etnograficznie i częściowo historycznie polskich: na Górnym Śląsku, w pow. Sycowskim i Namysłowskim Śląska Dolnego, w powiatach Babimojskim, Międzyrzeckim i Złotowskim t. zw. Pogranicza, w powiatach Bytowskim i Lęborskim Pomeranji, wreszcie na Warmji, na Mazowszu pruskiem i w ziemi Malborskiej. Reszta w głębi Niemiec: w Westfalji, w Berlinie i t. d.). Około miljona rodaków naszych, będących w położeniu najgorszem — Rosję sowiecką (z czego większość na ziemiach historycznie polskich: na Ukrainie i Białejrusi — a reszta głównie w R. S. F. S. R.). Około ćwierć miljona — Czechosłowację (Śląsk Cieszyński, Spisz, Orawę, Morawy). Około sześciuset tysięcy — Francję (skupienia najbardziej zwarte — na północy, dookoła Lille). Z górą dwieście tysięcy — w Brazylji (głównie w Stanach Parana, Rio Grande do Sul i Sta Chatharino; w niektórych okręgach w tych stanach ludność polska stanowi większość ludności). Dwieście tysięcy na Litwie Kowieńskiej. Osiemdziesiąt pięć tysięcy — na Łotwie (większość na historycznie polskich Inflantach i w ziemi Iłłuksztańskiej — reszta w Rydze i w Lipawie). Około siedemdziesięciu tysięcy w Rumunji (głównie na Bukowinie, częściowo w Besarabji). Mniejsze grupy w Belgji, w Holandji (zagłębie Limburskie) w Danji, w Estonji, w Austrji, na Węgrzech, w Jugosławji (kolonje polskie pod Banja Luka), w Turcji (Adampol), w Chinach (Charbin), w Kanadzie, w Argentynie i w innych krajach.

W trzech parlamentach europejskich zasiadają polscy posłowie (litewskim, łotewskim i czechosłowackim), a w dwuch nadto (pruskim i rumuńskim) zasiadali już po wojnie i mają szanse zasiąść w przyszłości (zasiadają nadto w kongresie Stanów Zjedn. i w niektórych legislatywach stanowych w Ameryce Półn. i w Brazylji). Istnieją zagranicą tysiące polskich kościołów. Na kilku stolicach biskupich zasiadają polscy pasterze (2 biskupi w Ameryce, biskup we Władywostoku, wikarjusze generalni w Charbinie i w Czerniowcach, — dawniej nadto arcybiskupi i biskupi w Petersburgu — Mohylowie, w Kamieńcu, Mińsku i Żytomierzu). Istnieje tam pozatem zgórą tysiąc polskich szkół ludowych i pewna liczba szkół średnich. Prasa polsko-zagraniczna składa się z więcej niż półtorej setki czasopism, w czem około trzydziestu dzienników. Samo to zestawienie cyfr i faktów wykazuje — że polskość zagraniczna to — przynajmniej w stanie potencjalnym — prawdziwa potęga.

Co kraj może zrobić dla rodaków na obczyźnie? Pomoc kraju może być rozmaitego rodzaju. Pod jednym wszakże względem może być nieoceniona: może dać myśl kierowniczą i organizującą. Polacy zagranicą, rozbici na szereg kolonij, są słabi i łatwiej w dążeniu do utrzymania swojej odrębności narodowej mogą uledz. Aby się zamienili na czynnik mocny, ważący coś w życiu narodu polskiego i świata, — muszą stanowić moralną jedność. Kraj może lepiej ogarniać całokształt zagadnienia Polaków zagranicą, bo od zagad-

nienia tego stoi zdala (nie mówiąc już o tem, że posiada intensywniejsze od środowisk zakordonowych życie umysłowe, a więc łatwiej się w niem może wykrystalizować nowa myśl: program i ideologja). To też i inicjatywa nowego zorganizowania życia polskiego zagranicą — może i powinna być tą formą pomocy, której rodacy nasi zagranicą od kraju przedewszystkiem potrzebują.

Jeżeli organizowany w Warszawie w tych dniach Zjazd Polaków Zagranicznych ma być polem do ujawnienia tej inicjatywy — może on mieć w życiu narodowem istotną i trwałą wartość. WIEL.

DROGI I BEZDROŻA NOWEGO WYCHOWANIA II.

IDEA WOLNOŚCI

PRZEDSTAWIONA w poprzednim artykule idea pracy stanowi jedną tylko podstawę prądów, noszących nazwę „nowego wychowania“. Drugą, również doniosłą, jest idea wolności, o której tak wiele słyszy się dziś na zjazdach i w dyskusjach pedagogicznych.

Wśród różnorodnych określeń idei wolności przeważa to, które wymaga, aby szkoła niczego nie narzucała „zgóry“, lecz stwarzała jedynie warunki, w których wszystko wzrośnie „od wewnątrz“ i „od dołu“. W dziedzinie dydaktycznej, zgodnie z taką zasadą, próbuje się, bez porównania dokładniej niż dawniej, dostosowywać materjał nauczania do swoistych faz rozwoju i zainteresowań dzieci, próbuje się go łączyć i wiązać w grupy tak, aby jako całość stanowił świat bliski dziecku. Zgodnie z tą samą zasadą stara się o to, aby materjał nauczania dostosować do indywidualności i aby zadowolić wszelkie jednostkowe, osobiste upodobania. Usiłowania te, wnoszące świeży powiew w zrutynizowaną i jednolitą dla wszystkich szkołę, przeradzają się jednak rychło w niepokojącą postawę. Jest nią lęk przed wysiłkiem, przed tem wszystkiem, co nie wejdzie do umysłu prosto i łatwo drogą zabawy i pożądania, co wymaga pewnego trudu i podniesienia się. Charakterystycznym przykładem może tu być zasada koncentracji, której słuszne wymaganie unikania rozbieżności chronologicznej i rzeczowej w nauczaniu różnych przedmiotów w jednej klasie, wypaczono pragnąc wszystko ze wszystkiem powiązać. W ten sposób np. dzieci nie uczą się nigdy matematyki samej przez się dla niej samej, zawsze jako elementu koncentrycznej całości, jako pomocniczego środka wiodącego do obcego celu. Matematyka jest im p o t r z e b n a, aby obliczyć rachunkową stronę np. jakiejś wycieczki, która jednocześnie jest materjałem dla przyrodnika, historyka i filologa. Powstaje w ten sposób swoisty materjalizm naukowy, uznający naukę i uczenie się wówczas tylko, gdy się uda je, jako środki, wstawić w jakiś zespół koncentracyjny. Lęk przed wysiłkiem i lęk przed idealizmem, kult swobody i utylitaryzmu dydaktycznego rozszerza się jeszcze bardziej, w niewolniczem często uleganiu pseudo - zainteresowaniom indywidualnym. W pewnej szkole z trudem wystarano się o sinologa, ponieważ dwoje dzieci wyraziło (krótkotrwałą jak się okazało!) chęć uczenia się po chińsku. Coś więc w idei wolności na gruncie dydaktycznym nie jest w porządku.

Na polu wychowania hasło wolności wnosi podobnie, jak pojęcie pracy, wiele nowości dobrych i złych. Zostawia się zrazu dzieciom zupełną swobodę i możność dowolnego użycia sił. Z tego chaosu wyrasta w każdem poczucie własnej możności, zaufanie do siebie, wiedza o sobie i własnych siłach. A gdy te wolne jednostki poczują potrzebę związku, rodzi się powoli nowe społeczeństwo, określające powoli prawa, które są wspólnym wytworem. W ten sposób wychowywanie przestaje być narzucaniem wartości i przepisów przez otoczenie drogą przymusu i represji, stając się powolnem wzrastaniem i indywidualnem osiąganiem pewnego poziomu. Autorytet zewnętrzny zastąpiony tu został zaufaniem do tego tylko, do czego się dorosło. Istotę tego stanowiska ujawniają drobne prądy krańcowe: głoszą one, że dziecko jest wolne, że nie trzeba mu niczego narzucać. Niech rośnie i niech się rozwija. My, ludzie starsi, zmęczeni chaosem współczesności, nieposiadający żadnej wiary pewnej, nauczeni szanować wszystkie, nie możemy, bo nie potrafimy, i nie powinniśmy niczego narzucać światu młodych. Z tej pedagogicznej rezygnacji powstają próby szkół pajdokratycznych, szkół, gdzie rządzi dziecko i gdzie jest często tyranem.

Odczuwamy tu, podobnie jak wobec idei pracy, że zeszliśmy na bezdroże. Coś musi być nie w porządku w zasadach, wiodących do pedogogicznej rezygnacji. Aby to określić, musimy znowu spróbować zanalizować treść tego pojęcia wolności, które współczesna kultura narzuciła wychowawcom.

Czemże więc jest wolność? Jest uwolnieniem. Zrazu uwolnieniem od władzy kościelnej oraz od prawd i norm objawionych, nadprzyrodzonych. Potem zaś, od władzy dziedzicznego i absolutnego monarchy, od niewzruszonych, bo narzuconych praw. W wieku XVIII sformułowano nowoczesne pojęcie wolności. Opiera się ono na naturze, której prawa odkrywa rozum. Dlatego wolność nie jest nagrodą, ani osiągnięciem: jest darem przyrodzonym i dobrem naturalnem. Ludzie z niej powinni korzystać, bo tak chce natura rzeczywistości. Dzięki temu wolność nie wiąże się z żadną ideą, celem lub normą — lecz z ekspresjonizmem, pojmowanym jako swobodne wyżywanie się człowieka. Dlatego demokracja wiedzie do ekspresjonizmu, ograniczonego zresztą jej drugą zasadą t. j. ideą równości.

Naturalistyczne uzasadnienie wolności, prowadzące do nieopanowanego wyżywania się, przejawia się dziś wyraźnie w różnych dziedzinach życia nietylko jako proces faktyczny, ale też jako nakaz i wskazanie. Człowiek winien żyć tak, aby wolność swą manifestował. Ten przymus ekspresjonizmu jest zrozumiały. Jeśli bowiem wolność jest prawem natury, to pragnienie jej tkwić powinno w duszy każdego człowieka. Kto pragnienia tego nie wykazuje, ten podaje w wątpliwość tezę, uzasadniającą wolność naturalistycznie i tolerowany być nie może. Szczególnie w dziedzinie politycznej przejawia się wyraźnie ów przymus ekspresjonizmu w postaci żądania, aby każdy obywatel— w demokracji parlamentarnej — zabierał głos w sprawach publicznych, określał swe stanowisko, głosował, należał do partji, choćby nawet to wszystko wyrabiało demagogję i dyletantyzm.

Ekspresjonizm panuje zresztą i w innych dziedzinach życia. W filozofji, w postaci prądu t. zw. filozofji życia, związanej z Bergsonem i Simmelem, głoszącej, iż proces życia jest pędem twórczym i niepowstrzymanym, niosącym w sobie cele swe i nor-

my. Na polu moralnem wyraża się w nieposzanowaniu tradycji, w żądzy swobody i niezależności, w nieliczeniu się ze wskazaniami i przepisami.

Temu współczesnemu pojęciu wolności, uzasadnianemu naturalistycznie, wiodącemu do ekspresjonizmu i będącemu właściwie oswobodzeniem człowieka od otoczenia, od ciążących prawd metafizycznych, krępujących praw dziejowych i obowiązków społecznych przeciwstawić można, — wolność inną, której treścią jest służba czemuś, co nas rozwija i wzmacnia. Taką wolność wewnętrzną odczuwa człowiek religijny, patrjota, wyznawca jakiejś idei, twórca. Jest to wolność pełna treści i życia, a nie wewnętrznej pustki.

I dlatego w wychowaniu ta druga tylko wolność istnieć powinna. Wolność-oswobodzenie, odsuwająca od nas leżące poza nami czynniki i wartości, wyjaławia osobowość, wiodąc do wewnętrznej pustki, do podsuwania siebie na miejsce rzeczywistości, swoich pożądań na miejsce nakazów lub norm, swoich wymagań na miejsce społeczeństwa i dziejów. Streszczając: niebezpieczeństwa tkwiące w idei wolności w wychowaniu wynikają z jej naturalistycznego, a właściwego naszym czasom, uzasadnienia.

Bezdroża pojęcia wolności w wychowaniu są więc podobne do tych błędnych dróg, na które wkracza pojęcie pracy. Wolność i praca zyskać mogą znaczenie na polu wychowania tylko dzięki ideom, którym służą. Wolność sama przez się staje się nieotamowaną swobodą, niszczącą treść osobowości, wytwarzającą duchową pustkę i nieodpowiedzialność. Praca sama przez się wymaga natężania sił, którego potrzeby usprawiedliwić nie może i przesłania świat wewnętrzny zewnętrzną działalnością. Ani wolność, ani praca, pojmowane w sposób wyżej scharakteryzowany, nie mogą stać się podstawą wychowania. Wychowanie bowiem da przedewszystkiem proces wewnętrznych przetwarzań, kierowanych wartością, zawierającą najgłębsze ludzkie pierwiastki. Naturalistyczna wolność ani też oderwane od człowieka, zekonomizowane pojęcie pracy, nie zawierają w sobie normatywnych dla wychowania wartości.

Ale oba te hasła nie wyczerpują jeszcze ideowych podstaw nowego wychowania. Wymagają czegoś trzeciego: wszak praca i wolność to pojęcia raczej przeciwstawne, niż zgodne. Trzeba więc znaleźć trzecią jeszcze siłę, któraby zespalała konflikty poprzednich.

BOGDAN SUCHODOLSKI

REGJONALIZM W SZTUCE

GDZIE jak gdzie, ale w sztuce posiadł regjonalizm pełnię praw obywatelskich, a od niedawna — nawet i przywileje. Cokolwiekby się wysuwało na rzecz umiędzynarodawiania sztuki, usuwania na dalszy plan motywów związanych z przestrzenią geograficzną i rasą, jakiekolwiekby się kreśliło kanony estetyki uniwersalistycznej — faktem niezbitym i powszechnie znanym pozostanie wartość psychologiczna i artystyczna lokalnego kolorytu i tego, co się nań składa: krajobrazu, budowli, człowieka, jego odrębności kulturalnej, w przeciwieństwie do bezliecej, zniwelowanej banalności „szerokich mas". Jak w etnografji, jednej z najbardziej cywilizujących nauk, badacz wnika w życie i kulturę poszczególnych obrębów terytorjalnych i rasowych, tak w sztuce, każdy, kto posiada pewien zapas wartościowań estetycznych, zatrzyma się, żeby wyczuć to, co jest charakterystyczne i w charakterze swym utrwalone przez intencję talentu.

Niezależnie od tych ogólnych punktów widzenia. regjonalizm na naszym gruncie jest podwójnie doniosły.

Naprzód, jako pewna zapora przeciwko zalewowi mieszczańsko-fabrycznej tandety, niwelującej w zawrotnem tempie odrębności prowincyj, zacierającej fizjognomję rdzenności tubylczej, a więc niweczącej pewien typ rodzimej kultury na rzecz obcej, często szkodliwej inwazji urbanizmu kosmopolitycznego.

Następnie: zainteresowanie życiem danego regjonu wyraża się przedewszystkiem jako dążność do wydobycia na jaw i utrwalenia wszystkich minionych wartości i dóbr kulturalnych. Czy to będzie odnowienie starożytnej świątyni i odkrycie nieznanych zabytków jej stylu, czy to będzie zbieranie podań miejscowych, gromadzenie kolekcyj ubiorów ludowych, ozdób, naczyń, czy będzie to inwentaryzacja bezpańskich, zapomnianych zbiorów, czy ochrona starych drzew, kamieni mogilnych, krzyżów przydrożnych — wszędzie praca regjonalna staje się u nas dźwignią nowego życia, pobudką w apatycznem wegetowaniu ludzi, nie rozumiejących roli kultury poza stolicami.

Teoretycznie znana i uznana aktualność regjonalizmu artystycznego, przedstawia się w praktyce dość jeszcze niepewnie. Wciąż, po dawnemu, wszystko spoczywa na barkach dzielnej i ofiarnej jednostki, której pracy zrzadka się przyklaśnie, częściej się przygląda ze sceptyzyzmem.

Jednostka taka, choćby nie osiągnęła narazie wielkich rezultatów, jest prawdziwym promieniem światła; przyjdzie chwila, gdy inni podejmą jej trud niepomierny i przemogą martwotę tradycyjnego *status quo*. Obcowanie z takiemi jednostkami napawa zawsze gorącą otuchą i budzi najpłodniejsze odruchy woli. Jednostki takie — to pionierzy cywilizacji.

Pod takim kątem widzenia należy ująć życie i działalność zmarłego w 1924 roku Konstantego Kietlicza Rayskiego, artysty malarza, folklorysty, krzewiciela kultury estetycznej, propagatora społecznej funkcji sztuki, którego niezmordowana praca na terenie Lublina i lubelskiego w ciągu lat z górą dwudziestu stanowi „świetlaną kartę", jak mówi o nim biograf, „w dziejach kultury Lublina", a paroletnia praca na Podhalu, w Pieninach, wydobyła na jaw przeoczane skarby sztuki ludowej. Leży przed nami książka zgasłego artysty p. t. „Sztuka góralska na Podhalu", wydana już po śmierci autora w zbiorze Tow. Przyjaciół Nauk w Lublinie z 30 planszami reprodukcyj (Lublin 1928 r.), rzecz pisana prosto a głęboko, nasuwając co chwila porównanie z pracami innego znanego rozgłośnie regjonalisty, St. Witkiewicza. Dołączone studjum biograficzne pióra L. Kamykowskiego daje obraz skromnej, cichej a niestrudzenie twórczej postaci K. Rayskiego.

Rodem Kielczanin, uczeń Gersona i Wyczółkowskiego, twórca obrazów figuralnych, kompozycyj, pejzażysta, rychło po odbytych zagranicą wędrówkach artystycznych ogniskuje uwagę swą na kulturze ludowej, bada i zbiera materjały do folkloru (publikowane

w „Wiśle“ i gdzieindziej) zaczyna uprawiać grafikę z wielkiem powodzeniem, a osiadłszy w Lublinie na stałe, rozpoczyna różnostronną i płodną działalność inicjatora ruchu regjonalnego. Po roku 1905 występuje jako prelegent. Wielcy malarze i ich dzieła (przeważnie swoi), cele i zadania sztuki, a nadewszystko propaganda życiowych jej walorów czy to w formie teoretycznych rozważań, czy rzucania haseł tworzenia swojskiego rzemiosła artystycznego, zakładania szkół dla ukształcenia w sztuce stosowanej; oto co stanowiło przez szereg lat treść tych wartościowych odczytów. Rayski dopomaga sobie piórem — pisuje do pism warszawskich i miejscowych, a nie było sprawy kulturalnej w Lublinie, gdzie nie brałby tak czy inaczej udziału. Głównie oczywiście pracuje jako artysta-malarz i rysownik. Cały stary Lublin, jego kościoły, kapliczki, zaułki, typy ludowe z okolic znajdują w Rayskim rozmiłowanego odtwórcę. Na każdym kroku uczy patrzeć, widzieć piękno i wydobywać je z ukrycia. W swych poglądach jest tak dalece nowoczesny, że zwraca uwagę np. na — wystawy sklepowe i co dziś dopiero jest aktualne — uczy estetyki w układzie towaru w oknie— nawet sklepu kolonjalnego.

„Sztuka góralska na Podhalu“ opowiada nam o latach pobytu w Szczawnicy, poczęści w Zakopanem, gdzie Rayski, ciężko chory, musiał przebywać (1919—1920). W Pieninach trafił na grunt dziewiczy. Olśniło go przedewszystkiem bogactwo stroju góralskiego, stanowiącego ciekawą odmianę typu podtatrzańskiego w ośrodkach, gdzie się krzyżuje z wpływami słowackiemi i rusińskiemi. Bada go szczegółowo jako etnograf i artysta. Zastanawia się nad rozmaitością ozdób, głównie pysznych haftów, charakteryzujących niekiedy poszczególne wsie. Różne „parzenice“, „przypory“, „leluje“ zostały zbadane i odmalowane szczegółowo i porównawczo. Również toporki, pasy i t. d. Wzory uważa Rayski za bezwarunkowo swojskie, wyszłe z rodzimego podglebia, nie mówiąc rozumie się, o historycznej tradycji (p. niżej). Interesuje go problem twórczości ludowej. Nie podejmuje się jednak określić ściślej, w jaki sposób obmyśla chłop artysta swój motyw zdobniczy. „Tu ani łowiczanka strzygąca barwne niebywałki z papieru, ani lubelszczanka barwiąca pisanki, ani też góral przed wyszywaniem swego p r ó ż n i o k a, nie przysposabia sobie zarysu; co dziwniejsze, że nie bada przyrody przed oddaniem jej w swoich utworach. Rozmawiałem raz bodaj czy nie z najzdolniejszym w Szczawnicy wyszywaczem. Wypytywałem go, czy przypatruje się czasem kwiatom. Nie, odpowiedział mi z pewnem zdziwieniem. A skąd wam przyszło na myśl robić np. łapki? Ano, tak robili dawniej, tak też i ja robię... Wnoszę zatem, że wyłączając wzory już utarte, cały proces twórczy odbywa się jedynie w umyśle górala i wychodzi z pod jego palców jako niefrasobliwy płód, na jaki się zdobyć może jedynie umysł naiwny, wypowiadający się zupełnie szczerze“.

Co do „wzorów utartych“, to idąc za Mokłowskim i innymi, stwierdza Rayski występowanie motywów zdobniczych z dalekiej przeszłości, np. pożyczkę renesansowej różycy i korony, która z pańskich dworów dostała się na ozdobę skrzyń chłopskich.

Inny jeszcze rodzaj sztuki ludowej zostaje bardzo gruntownie oświetlony przez Rayskiego, mianowicie obrazy malowane na szkle. Niestety, dużo ich uległo zniszczeniu. Pozostałe trzeba było odszukiwać po chałupach, żeby kupić lub skopjować. Co do pochodzenia ich — nie twierdzi autor, żeby wszystkie były krajowe. Przychodziły aż z Siedmiogrodu—ale były ściśle do gustów Podhala dostosowane. Są to przeważnie obrazy treści religijnej, a nie brak też i zbójnickich, z harnasiami tańczącymi i t. d. W charakterze swym, w kolorycie, w kompozycji, są to prymitywy — wartość ich jednak artystyczna nie ulega wątpliwości, przeważnie. Barwy są dobierane efektownie, tworząc harmonję lub dzikie kontrasty. Układ figur zdradza swoiste poczucie linji konturów, rozmieszczenia plam barwnych, rytmu i t. d. Nastrój w obrazach Męki Pańskiej często pełen „dzikiej grozy“ (czyż w hymnach wielkiego Poety wobec gór Podhala niema też dzikiej grozy?)

Rzecz charakterystyczna — obrazy na szkle we wsiach ruskich są zupełnie inne. Oprawa tych obrazów, to „romy“, naśladujące wycinankami ze słomy pyszne inkrustacje.

Niezmordowany artysta zapełnia teki swe szkicami. „Teka Sztuki Podhalańskiej“, oczekująca wydawcy, zawiera ogromny materjał: 66 barwnych plansz (obrazy na szkle), 11 pl. ceramiki, 68 pl. haftów, 32 pl. klocków (do batikowania tkanin) 16 pl. sztuki wykładania słomą (specyficznie w Szczawnicy), 7 pl. rzeźb, gajd, tropieni, skrzyń, pieców.

Obok artysty malarza występuje zbieracz podań, piosenek góralskich, (zbiór załączony w książce) i — działacz — pionier.

Znajduje tu bogaty teren dla inicjatywy. Widzi z jednej strony zanik sztuki ludowej, dawnych kunsztów i upodobań, zalew tandety wszelakiej, od niemieckich oleodruków, począwszy, widzi biedę i niezaradność, i niepożądany ruch wśród górali, szukających w emigracji ucieczki od nędzy, widzi z drugiej strony ogromne zdolności twórcze (sam wykształca parę młodych talentów na artystów ludowych) u ludu — i oto postanawia wystąpić z projektem stworzenia tu ośrodku kształcenia i rozwoju przemysłu ludowego artystycznego.

Rayski śle materjały do ówczesnego Min. Sztuki i Kultury. Projektuje założenie muzeum regjonalnego i szkoły rzemiosł. Ministerstwo poza ciepłemi słówkami i minimalną sumką za nadesłane szkice nie reaguje (r. 1920). W ten sposób przepada sposobność stworzenia rzeszy naprawdę wielkiej. Rayski zniechęcony wyjeżdża do Zakopanego. Tam rozwija propagandę w celu zwalczania handlu tandetą obcokrajową, podźwignięcia upadającej sztuki góralskiej, (głównie snycerstwa, ongi tworzącego rzeczy śliczne), ale trafia na zupełny indyferentyzm.

„Przemysł polski artystyczny, ludowy, gdzie i komu jest znany? Przecież my dziś jeszcze z nim nigdzie nie możemy wystąpić, bośmy go zamiast popierać — zatracili“ — mówi Rayski i wskazuje inteligencji jej szczytne zadanie: popieranie sztuki ludowej — „dla chwały narodu i swojej własnej, wreszcie dla interesu“.

Przyszłość jednak należy do idej, jakie głosił niestrudzony artysta. O ile, rzecz prosta, mamy się podźwignąć... Wtedy się też spełni jego przewidywanie: „kiedy się złączy wiedza fachowców z bujnością natur pierwotnych, będziemy mieli dzieła plastyczne, które staną się prawdziwą ozdobą budownictwa dzisiejszych architektów-twórców, dążących z taką zaciekłością do wskrzeszenia i ugruntowania stylu polskiego“.

Dzieło życia Kietlicza Rayskiego, jak dzieło St. Witkiewicza, Glogera i tylu innych, oczekuje zastępu młodszych pracowników, aby przygotowali grunt dla wielkiego renesansu stylu polskiej kultury. Styl ten musi wyrastać z ziemi!

LESZEK KONOPACKI

LIBERUM VETO

Jak postąpili Wiśniowiecki i Kościuszko. — Proces Czechowicza. — Osobliwy kształt Rady ministrów. — Odwaga demokratów radykalnych. — Sąd narodu i historji. — Ogólna tchórzliwość.

GDY po klęsce pilawieckiej zebrana we Lwowie część zbiegłego wojska ogłosiła Jeremiego Wiśniowieckiego hetmanem, on długo wzbraniał się przyjąć tej godności, którą prawnie mógł otrzymać tylko od sejmu, a gdy wreszcie uległ prośbom, podpisywał się „na ten czas", dopóki mu sejm nie przyznał buławy.

Gdy Kościuszko został wezwany przez województwo Krakowskie do objęcia zwierzchnictwa w powstaniu, chociaż ukochany i uczczony przez cały naród, nie zgodził się na przyjęcie tej godności, dopóki mu jej nie zaofiarują inne województwa.

Mniej podziwiamy tę lojalność w człowieku, który był równie skromnym i prawym, jak wielkim, a bardziej podziwiamy ją w dumnym i samowładnym „króliku", który nieraz czynił prawo ze swej woli i siły. Nawet on, ani sam nie śmiał mianować się hetmanem, ani przyjąć tego tytułu od oddziału wojska, chociaż był to czas bezprawia i chwila wielkiego niebezpieczeństwa, usprawiedliwiającego złamanie formalności. Obaj bowiem hetmani byli w niewoli, Chmielnicki z tatarami posuwał się w głąb kraju, a rozbita armja nie miała wodza. Wtedy można było nie liczyć się z konstytucją. Przodkowie nasi pohopni byli do wyłamywania się z ustaw, a jednakże żaden z nich nie targnął się na zasadę ogólnej wolności i żaden z nich nie nazwał się największym człowiekiem w Polsce i nie stanął po za prawem. Nie pozwolono nawet zasłużonemu Ossolińskiemu używać tytułu księcia, nadanego mu przez papieża.

Zdawałoby się, że nasza obecna demokracja, strasznie radykalna, dbała o zachowanie równości, protestująca przeciw hierarchji i wszelkim podstawom samowładztwa, posuwa się jeszcze dalej w kierunku dawnej szlachty, tymczasem ona cofnęła się aż do wschodniego służalstwa i rozpłaszczania się. Obfitą kronikę jaskrawych tego rodzaju dowodów wzbogaci teraz nowy, bardzo wymowny w procesie b. ministra skarbu.

W zeznaniu swojem przed Trybunałem Stanu p. Piłsudski stwierdził, iż jako premjer zastrzegł, że ministrowie wykonywać będą jego polecenia i za wszelkie działania rządu tylko on sam będzie odpowiadał. To prawo też zatrzymał dla siebie, zszedłszy z tego stanowiska i pozostawszy ministrem spraw wojskowych. Cokolwiek przeto uczynił p. Czechowicz, spełnił jego rozkaz. Jak wobec wspomnianego wyżej faktu zachowali się oskarżyciele ze strony sejmu? Na ich czele stanął poseł socjalistyczny, który pokazał, jak wygląda polska logika radykalnie demokratyczna. „Trybunał Stanu—rzekł on—jest sądem, przed którym musi uchylić czoła całe społeczeństwo, od najwyższego dostojnika do najniższego obywatela". Równocześnie wszakże (mówiąc o ministrze spraw wojskowych Piłsudskim) dodał: „Jest On zbyt wyjątkową postacią historyczną, ażeby mogła (chyba mógł) się zmieścić w ramach takiej odpowiedzialności (jak Czechowicza). JEGO nie będą sądzić trybunały, sąd co do niego należy do miljonów, do całego narodu, do pokoleń przyszłych, do historji". A więc jakiś „najwyższy dostojnik" nie potrzebuje „uchylać czoła" przed najwyższym sądem. Tak twierdzi socjalista, przeciwnik przywilejów, radykalny demokrata. Ale rozważmy, co warto jego odesłanie sprawy do instancyj społeczno-historycznych. „Cały naród" nie jest ani osobą, ani trybunałem kilkuosobowym, posiadającym prawo niezależnego wyrokowania, lecz zbiorem miljonów ludzi, jego więc „sąd" może być tylko opinją z tyluż głosów złożoną. Jakże te głosy mają się objawić, jeżeli są ograniczone lub tamowane tłumnikami przepisów administracyjnych. A historja? Przecie to też nie jest władza boska, która nie potrzebuje żadnych dowodów i świadectw współczesności, bo umie bez nich samą swoją wszechwiedzą odsłaniać prawdę....

Ażeby nie zbłądziła — co jej się zdarza bardzo często — i wyprowadziła zasadne wnioski, trzeba jej dostarczyć wiarogodnych i ścisłych przesłanek, trzeba zebrać dla niej odpowiedni materjał. To się robi, chociaż w swobodzie bardzo ograniczonej, natomiast fabrykuje się fałsze w swobodzie nieograniczonej. Mamy jednakże nadzieję, że kłamstwo, które posiada koślawe nogi i krótkie skrzydła, do odległej przyszłości nie dolezie i nie doleci bez utraty swojej wagi. O sąd historji możemy być spokojni, ale to nas nie uwalnia od obowiązku odwagi w bronieniu prawdy. Niestety, ta odwaga jest dziś, w atmosferze zatrutej niecnem służalstwem, cnotą bardzo rzadką i właśnie najrzadszą z tych, u których ona stale przebywa w ustach, a znika w czynach, śród tych radykalnych demokratów, którzy ciągle piętnują cały świat poza sobą winą obłudy, a nie zdejmują z twarzy masek, którzy przyprawiają sobie frazeologją najeżone grzywy i wydają straszne ryki lwów, a pod stalowym prętem pogromcy skaczą i układają się w piramidy cyrkowe jak lękliwe i tresowane koty. Prokuratorowie polityczno-społeczni tego gatunku mają odwagę za nieprawny postępek oskarżać żołnierza lub ekonoma, który spełnił rozkaz, a nie mają jej względem generała lub pana, który ten rozkaz wydał.

Nasza radykalja bardzo lubi rozdzielać ostre nagany tym, którzy kiedyś szli z nią łącznie lub równolegle, a teraz odskoczyli od niej daleko. Zapomina przytem lub nie chce przyznać tego, że zmienili się nie oni, ale ona, że ona tylko zewnętrznie pozostała domem dawnym, a wewnątrz jest czemś zupełnie innem, zachowała wygląd kaplicy, a jest szynkiem, sklepem, kryjówką potajemnej gorzelni lub fałszywej mennicy.

Co innego są zasady, a co innego ludzie, którzy je wyznają i stosują. Co innego filozofja Bacona lub Diderota, a co innego Bacon, który kradł i Diderot, który bił pokłony przed carową Katarzyną. Ktoś powiedział kiedyś, że socjalizm dawnoby zwyciężył, gdyby nie socjaliści. Nasza radykalja w wielu wypadkach i najoczywiściej w procesie b. min. Czechowicza wykazała, że może się zdobyć tylko na pół-odwagę, na walkę ze zwyciężonymi a nie zwycięzcami, na bunt przeciwko słabości a nie przeciwko sile, że ten żywioł hardy, wojowniczy, nieustępliwy umie nagle zmięknąć jak purchawka, że to stado dzikich wilków zamienia się niekiedy na stado łagodnych baranów.

Z mniejszą tylko słusznością można zresztą tę uwagę zastosować do innych żywiołów naszego społeczeństwa. Ileż w nich dusz zajęczych, lisich, tchórzowych. Ktoś nieuległym i niepoddańczym pogrozi „batem", ktoś drugi — „łamaniem kości", ktoś inny „przewrotem", ktoś inny „krwawą rozgrywką" lub poprostu zbójeckim napadem — i te wszystkie obelgi, ordynarne wymysły, pogardliwe plucia, łotrowskie zamachy nie tylko cierpliwie się znosi, ale nawet się stara, ażeby ich nie wywołać. Jedynym pocieszającym objawem w tym względzie jest coraz szerzej i wyraźniej ukazujący się bohaterski nastrój młodzie-

ży. Z jej patrjotyzmu, czystych uczuć i szlachetnych dążeń my starsi, odchodzący z pola pracy, czerpiemy nadzieję, że społeczeństwo wyrosłe w niewoli, która mu przytępiła wrażliwość moralną, odebrała śmiałość myśli i czynów, kiedyś odrodzi się, chociaż tego odrodzenia już widzieć nie będziemy. Gdybyśmy żyli samą teraźniejszością, zatrułaby nas, musimy się ratować wiarą w przyszłość.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

WARSZAWA WOBEC WYSTAWY

UBÓSTWO naszej prasy codziennej i ilustrowanej uwydatnia się dopiero teraz podczas wystawy krajowej. Zwłaszcza prasa warszawska, mająca ogniskować życie całego kraju, daleka jest od tej wyżyny. Gdyby się na nią liczyło, nie wiedzielibyśmy, że wystawa istnieje. Ileż wydarzeń błahych zaćmiło ten wielki wysiłek narodowy!

Warszawa wskutek złej organizacji swej prasy, a zwłaszcza wskutek zdemoralizowania politycznego, wypuszcza z rąk ster opinji publicznej. Poznań wyręczył Warszawę, urządzając wystawę, ale czyż mógł przypuszczać, że ona wyrzeknie się udziału moralnego? Prasa warszawska nie jest dokładnym wyrazem powszechnego w kraju zainteresowania wystawą. Opinja publiczna organizuje się poza prasą, która do entuzjazmu ogólnego nie przyczynia się zupełnie.

W dziennikach zagranicznych łatwiej spotkać się można z fejletonami o naszej wystawie, niż w warszawskich. Widocznie złą mają obsługę. Dziennikarze dzisiejsi są rozpróżniaczeni, odzwyczaili się obserwować i pisać po literacku. Potrafią wycinać tylko z protokułów sejmowych i raportów policyjnych, ale takie zadanie, jak przestudjowanie wystawy i skomentowanie jest dla nich zatrudne i nie opłaca się im.

Wszystkie redakcje korzystają ze wspólnych fotografij, dostarczonych przez biura. Te zaś, jak i agencje prasowe są uzależnione od „sanacji" i żydów, bojkotujących wystawę. Każdy dziennik ma tygodniowy dodatek ilustrowany, nie widzimy tam jednak wystawy. O ile wiemy, biuro prasowe na wystawie dostarcza poddostatkiem materjału gotowego, ale i z niego nie chce się nikomu korzystać.

Cały kraj poruszany jest wycieczkami do Poznania. O niczem się teraz nie mówi, tylko o wystawie. Wytworzył się poza prasą żywy dziennik, który wszędzie indziej uważany byłby za niebezpieczną dla prasy konkurencję. Prasa warszawska jest tak zażydzona lub zrujnowana, że nie poczuwa się do obowiązku, albo nie może go wykonać.

Ale cóż będzie z Warszawą, jako stolicą, gdy jej prasa przestanie być ośrodkiem mózgowym kraju, gdy nie zdolna będzie całkowicie do uświadomienia sobie procesów życia narodowego? Będzie to ładny zaułek Polski, ale nie ognisko główne.

Oto jeden ze skutków zażydzenia Warszawy.

„Kurjer Poznański" wspomina z żalem o innych w Warszawie czynnikach:

„Żałujemy, że ministerstwo spraw zagranicznych nie zorjentowało się zawczasu w sytuacji i nie wybiło dotąd ani w przybliżeniu dostatecznego kapitału z P. W. K. dla propagandy zagranicznej na rzecz państwa polskiego. Tego nie można było wymagać od kierownictwa P. W. K., chociażby dlatego, że nie dysponuje ono potrzebnemi na to funduszami i w pierwszym rzędzie dbać musi o to, by krajowa wystawa ściągnęła do siebie własne społeczeństwo.

Rząd ma możliwości bez porównania większe, materjalne zarówno, jak organizacyjne, i ma wprost obowiązki w dziedzinie propagandy zagranicznej. Jeżeli — jak wykazała rozprawa przed Trybunałem Stanu -- umiano miljony zużyć na agitację wyborczą na rzecz B. B., to dalibóg pożyteczniejsze byłoby poświęcenie kilku miljonów na propagandę zagraniczną w związku z P. W. K."

JESZCZE JEDEN POMNIK

„Z bronzu, ze śpiżu i gipsu
Miłe człeku, miłe...".

PO różnych kątach Małopolski Wschodniej stoi już nieco pomników, świadczących o gorliwości miejscowej administracji. Jak opowiadają ludzie, znający temte strony, pomniki te służą przedewszystkiem za punkty zborne dla antypańsiwowych manifestacyj ukraińskich. Kołomyja, gniazdo posła Sanojcy, nie chciało w tym względzie pozostać w tyle. Niedawno szereg osób w różnych miejscowościach Rzeczypospolitej otrzymał odezwę „Pokuckiego Komitetu Budowy Pomnika Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego w Kołomyji" z datą 5 czerwca 1929; odezwa zaczyna się od zawiadomienia, że „dla uczczenia wiekopomnych zasług położonych przez Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego dla Odbudowanej Ojczyzny Naszej, zawiązał się w Kołomyji ubiegłego roku Komitet Obywatelski, obejmujący wszystkie powiaty Ziemi Pokuckiej i wszystkie warstwy ludności, który postawił sobie za cel wznieść w mieście Kołomyji, jako stolicy Pokucia — śpiżowy pomnik Tego Wielkiego Męża". „Wykonanie pomnika jest bliskie ukończenia". „Uroczyste odsłonięcie pomnika nastąpi we wrześniu b. r."... Pośpiech ogromny. Pieniądze — z funduszów publicznych: „Główny trzon funduszu potrzebnego na cel powyższy złożyły samorządy Powiatowe i Zarządy miast Pokuckich. Wszystko to jednak jeszcze nie wystarcza. Uboga Ziemia Pokucka nie podoła sama znacznym wydatkom, związanym z wystawieniem pomnika, to też uciec się musi do innych Ziem i powiatów Rzeczypospolitej z gorącą prośbą, o pomoc materjalną w przeprowadzeniu tego dzieła, stwierdzającego z jednej strony wdzięczność współobywateli dla Wielkiego Mocarnego Obrońcy Ojczyzny, z drugiej zaś strony, dającego wyraz wieczystej łączności tej połaci kraju z Macierzą". Odezwę podpisali przedstawiciele Komitetu Budowy; Przewodniczący: Starosta kołomyjski, członkowie: Proboszcz kat., Przewodniczący Pokuckiego Koła Związku Ziemian, Prezes Izraelickiej Gminy wyzn. w Kołomyji, Starosta pow. Horodeńskiego, Starosta pow. Śniatyńskiego, Burmistrz m. Kołomyji, Prezes Związku Legjonistów, Prezes Obwodu Związku Strzeleckiego— o nazwiska mniejsza.

O ile zatem składki dopiszą, to niedługo poseł Sanojca będzie do swych wyborców przemawiał ze stopni pomnika, opowiadając im o swych zasługach na gruncie „współpracy z rządem"....

MIEJSCOWY

WYCHOWANIE NARODOWE

PACYFIZM W SZKOLE POWSZECHNEJ

W N-RZE 27 „Myśli Nar." przedstawiłem rezolucje, uchwalone na Kongresie Międzynarod. Federacji Stowarzyszeń Nauczycielskich, do której należy także Związek Pol. Nauczycielstwa Szkół Powszechnych. Dominujące miejsce na tym kongresie zajmowała sprawa szerzenia idei pacyfistycznych przez szkołę. Obecnie chciałbym dać przykład, jak wygląda ta

propaganda w praktyce, po przejściu przez symplistyczny umysł szeregowca ze związku P. N. S. P.

Przypadkowo wpadł mi w ręce zeszyt III, z marca 1829 r. „Miesięcznika Pedagogiczno-Literackiego Naucz. Szkół Powsz. Pow. Dubieńskiego". Jest to jedno z licznych pisemek prowincjonalnych, w których znajduje upust grafomanja miejscowych nauczycieli szk. powsz. Gdyby chodziło tylko o tę niewinną słabostkę w zastosowaniu do rzeczy błahej, jaką jest zużycie papieru i farby drukarskiej, nie wartoby zwracać uwagi na tego rodzaju wydawnictwa. Ale gdy się w nich spotyka dowody, jak nieuctwo i zarozumiały dyletantyzm przystępują z lekkiem sercem do rozwiązywania kwestyj tak doniosłych, jak przewidywanie przyszłości stosunków międzynarodowych i do urabiania zapatrywań przyszłych obywateli państwa w duchu swych poglądów, to troska doprawdy ogarnia o to, jakie będzie wychowanie obywatelskie szerokich mas ludowych.

Autor podpisany inicjałami J. B. zamieścił we wspomnianym numerze „Miesięcznika Ped.-Lit." artykuł p. t. „Idea pokoju w szkole". Przytoczę go w skróceniu, ażeby dać poznać sposób myślenia i wyrażania się dubieńskiego pacyfisty i jego uczniów:

... „Będąc pod wrażeniem wielkiej wojny ostatniej i jej przyczyn pedagogowie i mężowie stanu zastanawiają się nad sposobem uniknięcia jej w przyszłości, zalecając różne drogi wiodące do celu. Najważniejszą z nichb ędzie zapewne droga, zmierzająca do przekształcenia duszy zbiorowej narodów, przez wychowanie w duchu pokoju, miłości i zgody.

Nie pomożą (!) tu dorywcze akcje, jak szablonowo urządzane uroczystości, jeżeli szkoła, nauczyciel nie zmieni, nie przekształci umysłowości dorastającego pokolenia, przyszłego obywatela, jeżeli duch pokoju, wiary i miłości nie wniknie, nie wypełni tego wszystkiego, czego uczymy.

Stwierdzić należy, że wychowanie w duchu pokoju jest rzeczą trudniejszą i trudniej trafiającą do przekonania młodzieży, już z natury posiadającej zarzewie i pęd do walki, do buntu, do bohaterstwa (!)

Dla zbadania, jaki instynkt tkwi i wybitniej się zaznacza w duszy tutejszej młodzieży (młodzież polska, ruska, żydowska, czeska) instynkt walki czy pokoju (?), przeprowadzono w formie próby w szkole powiatowej w Werbie ankietę na temat: „Co wiem o Lidze Narodów i co myślę o niej"? Z których to prac przytacza się kilka charakterystycznych wyjątków:

Uczeń kl. VII, Czech lat 15. „W roku 1914 w Serajewie został zamordowany austrjacki następca tronu przez serba Princzipa. Austrja nie czekawszy (tak!) długo na wyjaśnienie, całą winę przypisała Serbji i wydała jej wojnę. W ten sposób rozgorzała wojna światowa, która skończyła się klęską państw centralnych, a zwycięstwem koalicji. Wojna ta pochłonęła kilkanaście miljonów ludzi i zniszczyła kulturę i gospodarstwo całej Europy" (O powstaniu Polski i Czech ani słowa. Przyp. nasz).

Po skończonej wojnie mądrzy ludzie, szczególniej państw zwycięskich doszli do przekonania, że to nie ma sensu, aby za jednego człowieka, tyle ludzi ponosiło karę (!).

Żeby temu zapobiec wiele państw Europy i całego świata stworzyło t. zw. Ligę Narodów, która ma za zadanie wszelkie spory pomiędzy państwami i narodami rozstrzygać drogą pokoju a nie oręża...

... Z pewnością, jeżeli Liga będzie tak dalej pracować, a narody wyzbędą się nienawiści, dojdzie między słowianami i germanami do współpracy i zgody".

Uczenica lat 14, kl. VII Żydówka. „Ja bardzo pochwalam pomysł stworzenia Ligi Narodów, która zapobiega tylu nieszczęściom i okropnościom wojny, a państwa zabezpieczone przed wojną przez Ligę Narodów mogą się odbudowywać po ostatniej wojnie i pracować nad wzmocnieniem swojej potęgi".

Uczenica kl. VI lat 14, Polka. „Przed wojną pałały narody do siebie nienawiścią i często przychodziło do rozlewu krwi dla błahej przyczyny.

Teraz zaś Liga Narodów stara się, aby panowała zgoda i miłość między narodami, a jak ludzie to zrozumieją i staną się lepszymi, to będzie dobrze żyć na świecie i bezpiecznie".

Wyciągi z prac uczniów świadczą — kończy p. J. B., że „duch pokoju tkwi w duszy naszej młodzieży".

Mówi się tak o miedzę od terroru sowieckiego, grożącego rozniecenieni pożaru w całym świecie. Mówi się mimo jawnych dążeń odwetowych Niemiec. Niedawno właśnie w „Przeglądzie Pedagogicznym" [1]) zreferowany był programowy artykuł docenta uniwersytetu w Erlangen, dr. Helmunta Weigela, który mówi, że nauka historji powinna służyć do ukształtowania poglądu politycznego i wpłynąć na urobienie woli potęgi w narodzie niemieckim, przeznaczonym do przodowania w Europie na podstawie swego centralnego położenia geograficznego i zalet swego ducha. Możność odbudowania światowej potęgi Niemiec widzi ten autor w związku z Rosją. „Między Rosją a Niemcami niema sprzecznych interesów. Państwa słowiańskie znajdujące się w pośrodku, Polska i Czechosłowacja, są zawadą zarówno dla Niemiec, jak i dla Rosji. Przemysłowe Niemcy i rolnicza Rosja uzupełniają się wzajemnie, ich drogi ekspansji będą mogły istnieć obok siebie. Wgnieceni między Rosję i Niemcy, Polacy i Czesi będą musieli zawrzeć pokój z Niemcami („*werden ihrenFrieden mit den Deutschen machen müssen*"). Może powstać wielkie państwo federacyjne, oparte politycznie na Niemczech i Wielkorusach, a germańskie co do swojej kultury".

Na takie, jawnie wypowiadane plany nie wolno zamykać oczu, nie powinno też wychowanie obywatelskie młodzieży być zdane na łaskę i niełaskę niedouków, obkarmionych taniemi frazesami, importowanemi z zagranicy. W tej dziedzinie, bardziej jeszcze niż w każdej innej, powinien być przez czynniki kompetentne opracowany ścisły program, obowiązujący dla każdego nauczyciela, niezależnie od jego przynależności do tej czy innej organizacji. Ponad „ideami" różnych Federacyj i konfederacyj musi górować myśl o Polsce.

R. KLIN

NAUKA I LITERATURA

PIERŚCIEŃ SZTUKI

Z NIEZAWODNYM zmysłem aktualności, właściwym swej rasie, p. Alfred Lauterbach ogłosił zbiór rozprawek z dziedziny historji i teorji sztuk plastycznych p. t. „Pierścień sztuki" (Warszawa 1929, nakładem księgarni F. Hoesicka). Autor porusza szereg zagadnień interesujących i żywotnych jak np.: „O społecznej funkcji sztuk plastycznych", „Architektura a indywidualizm", „Wschód a sztuka średniowieczna", „Idea gotyku", „Z historji ogrodu", „Zagadnienie wielkiego miasta", „Restauracja zabytków architektury" i t. d.

Całość utrzymana jest w stylu i na poziomie t.zw. „popularno-naukowych" artykułów dziennikarskich. Wskazują na to i widoczna chęć „lekkości" ujęcia, i szablonowa, często niezbyt poprawna polszczyzna, i pośpieszne, nieprzemyślane poważniej uogólnienia, nie powiązane w żaden jednolity, głębszy, syntetyczny pogląd na życie i sztukę. W „Pierścieniu sztuki" znaleźć można wiele idej słusznych i oddawna znanych. Rozprawka „Polscy teoretycy architektury XVII i XVIII w." wydobywa z niepamięci niejeden godny przypomnienia szczegół. Nieprzyjemny atoli staje się p. Lauterbach wówczas, kiedy z zabawną powagą wypowiadać zechce sądy o rzeczach, całkowicie mu obcych i niezrozumiałych. W artykule p.t. „Święty Franciszek z Assyżu i jego wpływ na sztukę"

[1]) Nr. 17 z 11 maja r. b.

pisze naprzykład, co następuje: „Było to wyzwolenie z ciemnicy (?) średniowiecza i barbarzyństwa, uważającego dotąd naturę za nieczystą (tryfne?) i wrogą człowiekowi siłę. Pojęcie miłości chrześcijańskiej, miłości bliźniego rozszerzył św. Franciszek na cały kosmos (?), budując przez to podwaliny nowego poglądu na świat (?), pozytywnego stosunku do przyrody i wolności poznania (?!)“. Jest to typowy św. Franciszek w pojęciu „panny Racheli“, czytającej *Fioretti*, zakupione w księgarni Mortkowicza. Autor „Pierścienia sztuki“ zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że po Chrystusie nie potrzeba już było wcale „rozszerzać... pojęcia miłości chrześcijańskiej“, albowiem pojęcie to, zawarte w naukach Ewangelij, nie było wcale, jak błędnie zdaje się mniemać p. Lauterbach... „za wąskie“... Świętość i wielkość św. Franciszka z Asyżu polega też nie na tem zgoła, że jest on twórcą jakiegoś „nowego“, „szerszego“ poglądu na świat, ale że właśnie, zarówno w stosunku do człowieka jak do przyrody, potrafił stać się możliwie najwierniejszem, najdoskonalszem odbiciem Boskiego Wzoru. Nie sposób też nie przyznawać słuszności Papiniemu, kiedy mówi: „Obmierzłe jest to fałszowanie prawdy franciszkańskiej dla tych wszystkich, którzy czczą we Franciszku pokorę naśladowcy Chrystusa, uległego Biskupom i Papieżom“. Próba zaś lansowania teorji, według której św. Franciszek miałby okazać się pierwszym... wolnomyślicielem, budowniczym „poglądu na świat“, opartego na „wolności poznania“, również nie ma żadnych widoków powodzenia. W pisaniu o tych sprawach zalecałaby się większa ostrożność.

J. R.

COURTELINE

W KOŃCU czerwca zmarł w Paryżu, przeżywszy 71 lat, Georges Moinaux (Courteline) autor licznego szeregu utworów scenicznych, któremi przez szereg lat bawił publiczność teatralną. Twórca „nieśmiertelnego“ — jak powiadają we Francji — „Boubouroche'a“ (grywanego i na naszych scenach) uważany był w Ojczyźnie własnej nietylko za jednego z najpopularniejszych, lecz i za jednego z największych pisarzów francuskich. Courteline'owi wyznaczano miejsce obok Lafontaine'a i Moliére'a, a to z powodu niezrównanego języka, jakiego używał, zarówno jak i z powodu filozofji życiowej, w ktorej wyrażał się duch rasy, genjusz narodu francuskiego.

Z utworów Courteline'a, prócz wspomnianego „Boubouroche'a“, cieszyły się rozgłosem następujące: *„Le pére Soupe“*, *„Messieurs les Ronds de Cuir“*, *Madelon, Margot et Cie“*, *„L'Adjudant Flick“*, *„Les Gaitès de l'Escadron“* i w. innych.

Courteline był komandorem Legji honorowej i członkiem Akademji Goncourt'ów.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazała się w Wilnie bardzo sympatyczna i wartościowa książka prof. Stanisława Pigonia „Z dawnego Wilna. Szkice obyczajowe i literackie“. (Wydawnictwo magistratu m. Wilna. Skład główny w Domu Książki Polskiej w Warszawie. S. VIII i 168).

Znakomity badacz dziejów literatury polskiej, prowadząc wykłady na uniw. wileńskim, musiał obrać sobie za specjalność badanie archiwów wileńskich. Zawdzięczamy mu wiele prac z zakresu życia i twórczości Mickiewicza. Badania te jednocześnie sprawiły, że stał się historykiem Wilna. Owocem ich jest książka niniejsza, pełna bardzo interesujących szkiców historycznych, z talentem kreślonych. Nie pominie ich żaden historyk literatury, a każdy miłujący przeszłość, owianą urokiem tradycyj mickiewiczowskich, przeczyta z upodobaniem. Z 15 szkiców wymienimy niektóre: Sprawa Zorjana Dołęgi Chodakowskiego w uniw. wileńskim, Kłopoty ks. Cenzora (Kłągiewicza), Z życia młodzieży akademickiej (awantury w sali wykładowej, na reducie, w teatrze), Wśród żywych kamieni (dochodzenie, gdzie to napisano na tablicy w roku 1823: *„vivat* konstytucja 3 maja!“), Występne książki, Sztambuch Maryli, Postawa religijna młodego Mickiewicza, o nieznanym wierszu Mickiewicza przed wyjazdem do Rosji, Pierwsza wigilija wygnańca (Zana) i t. d.

Dodać należy, że książka stanowi trzeci tom „Bibljoteczki wileńskiej“ wydawanej przez magistrat. Dwa inne są pióra kobiet: Rodziewiczówny „Cech introligatorski w Wilnie“ i Łowmiańskiej „Wilno przed najazdem moskiewskim 1655 r.“.

*

Wyszło dzieło prof. Tadeusza Kotarbińskiego „Elementy teorji poznania, logiki formalnej i metodologji nauk“. (Stron VIII + 483. — Wydaw. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. — Cena Zł. 16). Podręcznik ten, przeznaczony dla osób, przygotowujących się do egzaminu z głównych zasad nauk filozoficznych i dla osób, specjalizujących się w pedagogice, zawiera: 1) Uwagi o języku, 2) Zagadnienie teorji poznania, 3) Elementy logiki formalnej, 4) Zarys ogólny metodologji nauk, 5) Analiza cech odrębnych głównych działów nauki.

*

Wyszła książka Leona Halbana „Społeczne ideały chrześcijaństwa w pierwszych wiekach“ (Str. 153. Nakład księgarni św. Wojciecha). Autor przedstawia zmagania się dwóch światów, dwóch światopoglądów: pogańskiego, którego wyrazicielem był Rzym, oraz chrześcijańskiego.

Mimo szczupłości ram autor podjął się rozpierzchłe fragmenty myśli starochrześcijańskiej powiązać w jedną misterną budowę. Te ideały, żłobiące nowy nurt życia obywatelskiego w łożysku pogaństwa, budzą podziw śmiałością i konsekwencją, wzniosłością i prostotą.

*

Ignacy Nikorowicz, autor komedji „W gołębniku“ granej przez wszystkie sceny polskie i powieści „Jan Kiszocki“, wydał nowe dzieło „Nieśmiertelny Kochanek“. Jest to szereg krótkich opowieści omawiających różnorodne przejawy ludzkiego żywota. Niektóre z nich, jak „Nieśmiertelny kochanek“ budzą sensację swą niesamowitą grozą, inne znów—jak „Drewniane serduszko“. lub „Dzwonnik“—są maleńkiemi perełkami literackiemi, pełne prostoty.

*

Ostatni zeszyt „Pamiętnika Literackiego“ kwartalnika, wydawanego we Lwowie przez Tow. Liter. im. Mickiewicza pod redakcją prof. Bronisława Gubkrynowicza, zamieścił rozprawy Jana Janowa o Zawackiego śpiewniku historycznym z XVI w., oraz Adama Bara o Michale Grabowskim jako teoretyku romantyzmu i przeciwniku. Poza temi cennemi pracami znajdujemy szereg przyczynków historycznych i bogaty dział recenzyj.

W „Ruchu Literackim“ za czerwiec: Zofji Szmydtowej studjum szkicowe o dantejskim charakterze Psalmu dobrej woli Krasińskiego, Stefana Kawyna o koncepcji Lutra u Słowackiego i Heinego i Konrada Górskiego o walce racjonalistów z obskurantami na początku XIX w. Pozatem wiele materjałów, recenzyj i doskonała bibljografja.

W „Ruchu Słowiańskim“ (Lwów, maj) rozprawy: Oswalda Balzera „Mažuranić i Kadlec“, J. Br. Richtera „Rola krytyki literackiej w Rosji sowieckiej“. Dalej kronika i recenzje.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wielką nagrodę Akademji Francuskiej za dzieło historyczne (prix Gobert), otrzymał w tym roku za pracę p. t. „Historja dyplomatyczna Francji“ (*„L'histoire diplomatique de la France“*) znany publicysta i polityk, p. René Pinon, sprawozdawca polityczny *„Revue des deux mondes“*.

Wielką nagrodę literatury otrzymali: powieściopisarz A. Demaison za powieść *„Livre des bêtes qu'ona appelle sauvages“* („Książka o zwierzętach, które zowią dzikiemi“) i wybitny krytyk, p. Henri Massis (autor prac, o których była nieraz mowa w „M. Nar.“, jak *„Les Jugements“*, *„La défense de l'Occident“* i t. p.) za całą działalność literacką.

*

Tegoroczna *„Prix de Roman“* została przez Akadamję Francuską przyznaną p. André Demaison za jego książkę p. t. *„Le livre des bêtes qu'on appelle sauvages“* (Grasset edit.). Autor ten zresztą już poprzednio był laureatem nagrody kolonjalnej za powieść *„Diato“*. Napisał on pozatem inną, bardzo ciekawą *„Le Pacha de Tomboctou“*. Już same tytuły tych utworów świadczą, iż André Demaison zna życie kolonij. W rzeczy samej jako młody, bo 19-letni chłopiec opuszcza on Francję i udaje się do Senegalu. Jednakowoż ten myśliwy w krótkim czasie zaczyna się bardziej interesować życiem zwierząt, aniżeli trofeami, jakie do domu przynosi. Fuzję zmienia na aparat fotograficzny, celem uwiecznienia znienacka różnych scen zwierzęcej egzystencji. Zainteresowanie się nią wzrasta coraz bardziej u autora, a wów-

czas zaczyna wychowywać lwiątka i tygrysiątka. Oswaja on nawet lwicę Ouara. Ocalił jej bowiem razu pewnego życie, a ta z wdzięczności nietylko przywiązuje się do swego zbawcy, ale rozłączona od niego ginie z tęsknoty za nim. To też zdaniem p. Demaison niema zwierząt dzikich, t. zn. każde może być przez człowieka oswojone, o ile ten oczywiście posiada dostateczną po temu siłę, inteligencję i potrafi je darzyć pieszczotami, jakie lubią. Zwierzęta te jednakowoż pozostają wrażliwe na apel pustyni, podobnie zresztą jak człowiek tam przebywający na apel cywilizowanego świata. Książka jest też właściwie szeregiem nadzwyczaj ciekawych portretów zwierząt, przezwanych dzikiemi, w których pierwsze miejsce zajmują ich obyczaje, sposób życia, na tej zaś podstawie autor przeprowadza niezmiernie przenikliwą analizę ich psychologji. Bohaterzy główni p. Demaison, a mianowicie lwica — Ouara, antylopa —Tân, czy też słoń — Poupah nigdy czytelnika nie znudzą swojemi... djalogami.

*

Cięte pióro p. René Benjamin jest znane. Dało się ono już we znaki admiratorom fałszywych wykopalisk Glozelu. Dzisiaj używa sobie na Lidze Narodów i jej zwolennikach. Ostatnia bowiem książka autora „*La vie prodigieuse d'Honoré de Balzac*" jest poświęconą areopagowi genewskiemu, a nosi tytuł „*Les Augures de Génève*". Jest to szereg portretów o niezrównanem podobieństwie, w których autor z nadzwyczajną trafnością odmalowuje czy to charakterystyczne rysy p. Brianda, czy to p. Alberta Thomas, czy to p. Hermanna Müllera. Obok zaś głównych „*vedettes*", p. René Benjamin kreśli nadzwyczaj barwne obrazy tego całego, specjalnego świata, koncentrującego się dookoła Ligi Narodów. Podobnie jak ćmy do światła, tak zlatują się do Genewy dyplomaci, politycy, dziennikarze, eksperci, sztab daktylografek, lekarzy, najrozmaitszych kobiet. Nikt lepiej nie potrafi uchwycić ich słabych stron. Ale książka p. Benjamin nie jest tylko satyrą ostrą na Międzynarodowy Parlament. Zawiera ona szereg głębokich obserwacji. Augurzy genewscy, pisze autor, może siebie poważnie traktują. Nie można jednak patrzeć się na nich bez śmiechu, ale też i bez smutku, Ci bowiem ludzie, marzący o zrealizowaniu powszechnego pokoju, zapomnieli niestety w swoich marzeniach o jednej rzeczy, a mianowicie o stronie duchowej ich zadania. Augurzy bowiem genewscy są, jego zdaniem, wulgarni i wulgarnemi są ich zamierzenia. Autor też wyraża wielki sceptyzm co do skuteczności pokojowej pracy Ligi Narodów jako też pokojowych zaklinań się Niemców. Jeżeli bowiem nawet obiecują najsolenniej, że będą barankami, to jednak pomimo tych obietnic i pomimo nich samych staną się wilkami. Konkluzja p. René Benjamin — głęboko pesymistyczna, ale opierająca się na realnych podstawach, jest oczywiście bliższą prawdy, aniżeli wszelkie sztuczne powiewy lokarneńskiego ducha.

•

Ostatnia powieść p. Piotra Benoit nosi tytuł „*Erromango*" (Albin Michel Edit.). Jest to nazwa jednej z wysp Nowo-Hebrydzkich; Erromango, prawie zupełnie pustynna, posiada dziką, wspaniałą naturę, a otoczona jest stromemi brzegami. Żyją na niej ostatni ludożercy. Na wyspę tę wylądowuje pewnego dnia inżynier Fabre, celem przeprowadzenia studjów do chowu baranów. Nie przebywa on tam sam, ale w towarzystwie gramofonu i potężnych zapasów *whisky*. Ale na wyspie tej, spustoszonej cyklonami, panują straszliwie upalne lata i niemniej straszliwy okres deszczów, wywołujących gorączki okropne. Natura szaleje, a Fabre wygrywa na gramofonie i wypróżnia kieliszek za kieliszkiem. Z biegiem tygodni rodzi się w umyśle jego rodzaj „*idée fixe*", którą jest strach przed niewiadomem, a grożącem mu niebezpieczeństwiem. Na Erromango żyje i inny biały człowiek, a mianowicie plantator Jeffries. Chory umysł alkoholika wyobraża sobie, iż grób żony Jeffries'a znajdujący się obok jego domu, jest grobem kobiety, którą dawniej kochał w Sidney, a która zniknęła bez wieści. Imaginuje sobie tedy, iż Jeffries wiedział o tym romansie żony i obecnie pragnie się zemścić. Jeffries odwiedza Fabre'a. Ten ostatni wygrywa mu piosenki, które „ona" specjalnie lubiła i prowokuje go rozmaitemi aluzjami. Czytelnik nie wie, czy Jeffries je rozumie, czy też udaje, że ich nie rozumie. Nastrój na Erromango staje się coraz bardziej przeładowany elektrycznością. Obłęd Fabre'a wzrasta z dnia na dzień. Aż wreszcie wypuszcza on na wolność ostatnie zwierzęta swojej plantacji, rozdaje pieniądze jedynemu wiernemu słudze. A wówczas pewnej przepięknej nocy, podobnej do tych, które spędzał z ukochaną, Fabre odbiera sobie życie. Kiedy zaś dzień nastanie, przybije do Erromango tenże sam statek, który w swoim czasie przywiózł Fabre'a. Zwyciężyła go atmosfera przeklętej ziemi, jaką p. Benoit zwie „*sortilège d'Erromango*". Ta zaś, jaką autor „*Atlandide*" wytworzył w swojej powieści, przykuwa uwagę czytelnika.

ZMARLI

Ś. P. JULJAN FAŁAT

Dnia 9 b. m. w Bystrej na Śląsku Cieszyńskim zmarł znakomity artysta-malarz, Juljan Fałat. Urodzony w r. 1853 w Tuligłowach — wiosce małopolskiej, jako syn organisty, kończy szkołę wstępną w Komarnie, a gimnazjum — w Przemyślu i wstępuje do Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, a następnie w Monachjum, gdzie zarazem studjuje budownictwo dróg i architekturę. Bardzo wcześnie poświęca się akwareli i ulega poczęści wpływom impresjonizmu, który jednak samorodnym i wielkim talentem na własny i odrębny styl zamienia. Sława jego w Europie rośnie w tym czasie z zawrotną szybkością. W r. 1895 Akademja Sztuk Pięknych powołuje go na swojego dyrektora po Janie Matejce. Na tem stanowisku pracuje do roku 1910, wywierając na liczne rzesze uczniów wpływ przemożny w zakresie rozpowszechnienia w Polsce nowych kierunków malarstwa. Poczem przenosi się na stałe do Bystrej. Przez czas krótki był pierwszym dyrektorem departamentu sztuki w Warszawie. W roku ubiegłym obchodzono 75-letni jego jubileusz, przyczem rząd obdarzył go orderem „*Polonia Restituta*", który wręczył mu w Bystrej osobiście ówczesny wojewoda krakowski, p. Darowski.

Fałat jest jednem z najświetniejszych obok Chełmońskiego objawień krajobrazu polskiego w okresie pleneru i impresjonizmu. W technice akwarelowej, w jej świeżości, barwności, prostocie i brawurze dorównywa największym mistrzom świata. W krajobrazie i jego nastroju, w scenach łowieckich i rodzajowych jest rasowym, wielkiej miary poetą przyrody i życia. Zgon jego okrywa żałobą nietylko Polskę, lecz i cały świat cywilizacji współczesnej.

NOWE KSIĄŻKI

Wasilewski Zygmunt. Poeci i teatr. Spostrzeżenia. Warsz. 1929. Gebethner i Wolff Str. Cena zł. 7.50

Rembieliński Jan. W rocznicę zwycięstwa. Warsz. 1929 Str. 22 (2 portr. Dmowskiego i Paderewskiego).

Pigoń Stanisław. Z dawnego Wilna. Szkice obyczajowe i literackie. Wilno 1929. Wyd. magistratu m. Wilna. Str. 168.

Kozielewski Ignacy. Łukasz Górnicki. Studjum historyczno-literackie. Lwów 1929. Nakł. Tow. Naukowego. Archiwum T. N. Str. 146. Cena zł. 8.

Czachowski Kazimierz. Jan Kasprowicz. Próba bibljografji. Kraków. 1929. Tow. Miłośników książki. S. 63.

Regjon lubelski. Organ Komisji regjon. Tow. Przyjaciół Nauk w Lublinie. Lublin, czerwiec 1929. S. 143 (z ilustr.).

Ustawa o prawnem uznaniu syndykatów i prawnem uregulowaniu zbiorowych stosunków pracy. Tłumaczył z italskiego Jan Zamorski. Łódź 1928. Wydał Stan. Lipkowski. S. 96. Cena zł. 2.50.

Kubisz Jan. Pamiętnik starego nauczyciela. Cieszyn 1928. Wyd. Tow. ewangelickiego w Cieszynie. S. 317 (z portr. i ilustr.).

Golachowski Kazimierz. Państwo, obyczaj i społeczeństwo w utworach J. Kochanowskiego. Nowy Sącz 1929. Nakładem Funduszu naukowego. S. 44.

Instrumenty muzyczne. Monografja zbiorowa pod red. M. Glińskiego. (Warsz. 1929). Nakładem „Muzyki". S. 47 i plansze.

Jahołkowska-Koszutska Ludwika. O kobiecie współczesnej i o kobiecie przyszłości. Z portretem. Warsz. 1929. Skład w Domu Książki Pol. S. 114.

Kotarbiński Tadeusz. Elementy teorji poznania, logiki formalnej i metodologji nauk. S. X i 483. Nakładem Zakładu Narod. im. Ossolińskich we Lwowie.

Do zeszytu niniejszego „Myśli Narodowej" dołączamy specjalny dodatek ilustrowany, poświęcony Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu.

OFENSYWA

KADEN W „WIDNIU"

NA jesieni trzeba będzie zabrać się do tego wszystkiego na ostro, z zakasanemi rękawami, bez pardonu; tymczasem atoli jeszcze łagodnie, podjazdowo, takie tylko przekomarzanki...

Pod mikroskopem znowuż ten Kaden-Bandrowski. Podobno za sprawdzian swej „genjalności" ten pan uważa częstotliwość uwag, jakie jego osobie i działaniu się poświęca. Nie pora tu na megalomanję. Nie o jego osobowość tu chodzi, ale o niego jako najpełniejszy okaz mentalności inteligentów-Piłsudczyków, jako o najbardziej charakterystyczny egzemplarz popisowy tego obozu. Ten Kaden Bandrowski jest Piłsudczyzny Tyrteuszem, Xenofontem, Rostandem, jest jej wytwornym panegirystą i jerychońskim reklamiarzem. Po jakimś bankiecie fotografował się w ten sposób, że stanął za fotelem pana Piłsudskiego i ręce oparł na fotelu na znak poufałych stosunków; dawniej nawet bywał w Sulejówku. Jako taki więc podlega tu obserwacji i ewentualnie wiwisekcji, nie zaś jako jakiś polski Ehrenburg czy Margueritte, autor takich czy innych opowiastek, o które za rok już w żadnej wypożyczalni książek pies z kulawą nogą się nie zapyta. Nie żaden Kaden beletrysta, nie żaden autor „Łuku" czy „Barcza" wchodzi tu w krąg światła krytycznego reflektoru, a wyłącznie Kaden-kapitan, organizator prasy na froncie, rozdawacz kubanów gazetom warszawskim, działacz nadworny, macher, rajzender, *Krakauer*.

Zabawne było obserwować przez te lat dziesięć, jak sobie radzi i poczyna to zdolne a przeambitne stworzenie na warszawskim bruku, jak się wciska, jak się wgryza i jak się „rozprzestrzenia". Nie można zataić podziwu dla żywotności, obrotności, skrzętności i zabiegliwości tego *ultra*—krakowczyka. To są zresztą sprawy znane i uznane. Bardziej imponująca jest jego strategja finansowo wydawnicza. Tutaj p. Kaden-Bandrowski został elewem w pewnej mierze W. Sieroszewskiego. U niego podpatrzył taktykę i metody. Sieroszewski, jak wiadomo, długie lata uchodził i grał radykała i sympatyka socjalizmu. Ale już wtedy za czasów swoich bohaterskich z powieściami swojemi chadzał do *ultra*—burżuazyjnych pism i obficie płacących firm nakładczych. Niby to nie sam załatwiał (jako idealista i natura marzycielska), kontraktami zajmowała się rodzina, mocno i zażarcie targująca się z „firmami", ale monetę zgarniał sam i jak na nasze ciężkie warunki zarabiał sporo i dochrapał się czegoś, podczas gdy Żeremiasz był w nędzy, Szymański, Chmielowski, Dygasiński i tyla, tyla innych, wszyscy kończyli orkę życiową w nędzy. Kiedy tedy Kaden Bandrowski znalazł się w Mecce wszystkich zdolnych krakowczyków, odrazu zwąchał wszystkie pisma nosem, gdzie można co i jak. Do burżuazji jedyne wejście było przez „Świat" i „Tygodnik Ilustrowany". Tędy wszedł Sieroszewski a za nim cała gromada Rzymowskich, Rygierzyc, Breiterów i takich rewolucyjnych duchów, co to lubią dużo i dobrze zarabiać, a do „Robotnika" jużby nie dali nawet dziesięciu wierszy *gratis*, chyba zgóry płatne. „Tygodnik Ilustrowany" cierpiał wówczas na sklerozę przewlekłą i postanowił się odmłodzić. W krótkim czasie Kaden radykał stanął mocno jedną lewą nogą w „Świecie" a prawą wśród Gebethnerów i Wolffów a że przed sobą miał fotel z marszałkiem, więc Warszawę i globus czuł jakby pod stopami. Normalnie biorąc i po dawnemu biorąc autor radykalny wydaje u radykalnych wydawców i ponosi konsekwencje swej ideologji. A tutaj ten p. Kaden Bandrowski rżnie powieść drukowaną przez arcyburżujski „Świat" a wydaną przez wielką tradycje mające „Ossolineum", w której to powieści jedyna jasna postać jest komunista Duś; tym Dusiem wzruszają się wszyscy komunizujący literaci; p. Breiter z urzędowego „Głosu Prawdy" w ekstazie zgoła synagogalnej pisze: Jakiemże niesamowitem pięknem tchnie każde poczynanie komunisty Dusia..

Otóż to jest nie w porządku, w tem jest „geszeft". Bo albo jegomość sympatyzujesz z komunizmem Dusiów i ponosisz tego konsekwencje (Broniewski, Jasieński, Standé i t. d.) i wtedy możnaby mieć dla ciebie szacunek. Albo też jesteś tylko *business-man*, spekulant utalentowany i wtedy ze względu na olbrzymią klijentelę czytelniczą żydowską szkalujesz Polaków, egzaltujesz Dusia, zyskujesz poklaski handelsmanów krytycznych, ale wtedy trzeba kabotyństwo geszefciarza tępić a firmy burżuazyjne, firmy polskie, choćby tak do niedawna poważne jak „Ossolineum" za wydawanie takiego (choćby finansowo kalkulującego się) „towaru" demaskować. Choćby bowiem „Czarne Skrzydła" Ossolineum się opłaciły, pozostanie hańbiącą plamą tego niezmiernie dla kultury polskiej zasłużonego Instytutu, że podobne *opus* w świat pod swą flagą puścił.

Teraz atoli chodzi o ten *Pen-Club*, mniej o tego Kadena Bandrowskiego. Pisarze poważni i firmowi wycofali się zeń omal całkowicie. Oprócz Galsworthyego w Londynie (gdzie pomysł się zrodził) do tamtejszego *Pen-Club'*u nie należy ani jedno nazwisko nie tylko światowego ale lokalnego znaczenia Same *nomina obscura* i *ignota* a główną rolę gra krawiec londyński Denis Bradley. Paryż i Rzym nie biorą żadnego udziału w Pen-Clubstwie. Natomiast z dziką furją i zapałem rzuciły się do tego żydy berlińskie, wiedeńskie, budapesztańskie, salonickie, wogóle *Ostjuden*, aszkenazim, wietrząc w tem nową międzynarodówkę.

Ostatni kongres Pennisów odbył się teraz „*an dem schoenen blauen Donau*". W Wiedniu jest Stowarzyszenie prasowo-literackie „*Concordia*", o którem krążyło *bon mot*: „*Concordia ist ein litter-ariches Verein in dem Kein Liter arisches Blut flieszt*". Żyd na żydzie jedzie i żydem pogania. Idealne *metropolis* dla Penklubmenów. Zjechało się ze 300 rajzenderów i *commis*'ów. Wedle p. Breitera Niemców reprezentowali: Pinthus, Magnus i Kuhn, Francję: Cremieux, Amerykę: Szalom Asch. Prezydował Feliks Salten *recte* S a l c m a n, fejletonista, obok niego Zweig, Werfel, Amerheimer same żydy, podczas gdy z samego Wilna z sekcji hebrajskiej było ich dwudziestu, co p. Breiter skrzętnie zataił. Jaki jest sens i cel zjazdów i kongresów tych Pennisów? Ot poprostu, żeby się żydy z różnych stolic poznały i zabawiły nieco, przyznaje to szczerze sam p. Breiter:

„Organizacja kongresu była świetna, program rozrywek bogaty i urozmaicony, program pracy natomiast raczej trochę ubogi".

Polską literaturę reprezentował p. Kaden Bandrowski, W imieniu polskiej literatury mówił do żydów p. Kaden:

„Gdym słuchał nieśmiertelnego walca Straussowskiego podczas uroczystości otwarcia tego kongresu w *Kuppelsaal*'u, gdy nam mówił czcigodny prezydent republiki austrjackiej o pełnym znaczenia krajobrazie wiedeńskim, czułem, iż Wiedeń ten drogim jest memu polskiemu sercu".

Wreszcie w imieniu polskiej literatury zaprosił pan Kaden żydów zebranych na przyszły kongres *Pen-Club*'u do Warszawy, no i tu już należy powiedzieć: *stop!* i tego rozbuchanego, rozwielmożnionego, rozpanoszonego Krakauczyka osadzić raz na miejscu.

Jest rzeczą zdumiewającą, że w „Kurjerze Warszawskim", pod nieobecność wakacyjną redaktorów, znalazła się jakaś przeszwarcowana reklama dla tej idei przez adlatusa p. Kadena napisana; rewanżując się za zaawansowanie także na reprezentanta piśmiennictwa, wniebowzięty wiedeńskiemi bankietami korespondent entuzjazmuje się ideą przyszłego kongresu *Pen-Club*'u w Warszawie!

My tymczasem zgoła nie. Nie dajemy się brać na *bluff*, że taki kongres i taka kupa wielkomiejskich żydków z różnych nacyj może przynieść jakąś propagandową korzyść. Wydatek jest duży a profit mały. Gdybyż choć był jakiś *numerus clausus* i żeby niemieckich żydków profuzja dała się zmniejszyć do 70%, no to jeszcze! Ale naekspensować się, żeby znów w kabotyńskiej oracji wygłupiał się zapocony Kadenek a „pokrywali go oklaskami" Asch, Jellenta, Stern, Braun, Arnstajnowa, Oryng, Wassercukier, Handelsman, Eile, Benedykt, Pomper, Herminja, Mortkowiczanka, Klingsland, Peiper, Breiter *und soweiter*, no to niema sensu.

Pan Kaden-Bandrowski jest morowiec w tych swoich wszystkich robótkach, ale już przeszarżował i znudził się. Czy „Wideń" drogi jest jego „polskiemu sercu", to nam jest „wurszt" mówiąc po Kadenowsku. Od tego był „ablegrem" c.k.N.K.N., żeby Widniem się rozczulał. W Warszawie w każdym razie musi być pomniejszony i doprowadzony do porządku. Od jesieni przesiądzie się nieco niżej. Nawet *Pen-Club-Mann*'y mu nie pomogą.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dzienniki ogłaszają telegraficzny komunikat, że p. premjer Świtalski wraz z małżonką i zastępcą szefa gabinetu Przesmyckim wyjechał samochodem do Biarritz na sześciotygodniowy wypoczynek. Jednocześnie wyjechał także na urlop szef gabinetu premjera p. Paciorkowski. W tych dniach wyjeżdżają na urlop ministrowie: kolei, reform rolnych, oświecenia, rolnictwa, sprawiedliwości i pracy. Wszyscy zagranicę. W Biarritz premjer Świtalski spotka się z pp. Sławkiem, Knollem i Zaleskim. Warszawa, jak widzimy, pustoszeje na lato, ale najpuściej będzie w gabinecie. Zostaje tutaj na szczęście minister Sławoj-Składkowski.

*

Na zjeździe Związku legjonistów okręgu warszawskiego uchwalono szereg rezolucyj w kierunku „aktywnej współpracy z Blokiem bezp. Współpracy z rządem", a druga z nich tak brzmi:

„Zjazd wzywa zarząd Związku do zwrócenia całej uwagi celem wychowania młodego pokolenia na zasadach idei legjonowo-niepodległościowej, począwszy od wywierania wpływu na wszystkie szkoły i instytucje wychowawcze, stwierdza konieczność wciągnięcia w orbitę swych wpływów jaknajszerszych mas ludowych, robotniczych, zwłaszcza drugiej armji polskiej t. j. kolejarzy, przy uwzględnieniu ich dezyderatów o polepszenie bytu".

Im więcej „współpracy z współpracą", tem mniej można zrozumieć, o co chodzi. Bo jakież to są owe „zasady idei legjonowo-niepodległościowej"? Co to ma być w szkołach i z tą „drugą armją"? Pan Sławek „buja" biednych legjonistów.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM